STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 06/2011
72

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



W numerze

B I E S Z C Z A D Y
Połonina Caryńska

www.pl.wikipedia.org

SPOTKANIA NA KRESACH

Biografie słynnych Polaków

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA – zakończenie

Zygmunt Ostrowski
SPP – Warszawa

ZOFIA KOSSAK SZCZUCKA NA WOŁYNIU

Kolejnym domem pisarki stały się Skowródki na ziemi kresowej Miejscowość ta była częścią dóbr należących do hrabiego Józefa Potockiego - ostatniego właściciela Antonin. W *Pożodze* Zofia Kossak napisze później: „W Skowródkach, w cienistym dworze, położonym, na spadku wysokiego wzgórza, mieszkali moi rodzice, trzymając wówczas w dzierżawie parę nowosielickich folwarków". I znów dom stawał się centrum wszystkich zdarzeń, centrum wszechświata. Zwłaszcza, że położony był w okolicy „pięknej jak marzenie". Do tego opisu dołączy przyszła pisarka uwagę, że wieś miała podobno złą sławę, jako rojowisko koniokradów i zbiegów z katorgi.

W Skowródkach upłynęło parę spokojnych lat. Zachowane fotografie pokazują szczęśliwą, urodziwą pannę o ciemnych, gładko zaczesanych włosach, siedzącą na schodach rodzinnego domu i głaszczącą psa, dosiadającą konia, zjeżdżającą na sankach.

Jej przyszłością miało być malarstwo. Zdradzała ku temu zdolności. Uczyła się rysunku już w Kośminie, a w roku akademickim 1912/13 w pracowni malarstwa prowadzonej przez Karola Tichy'ego w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Następny etap studiów odbywał się za granicą, w Genewie, dokąd Zofia Kossak wyjechała razem z przyjaciółką - Wandą Kossecką jesienią 1913 roku. Studiów nie ukończyły, obie panny przyjechały do domu na letnie wakacje, a wybuch I wojny światowej pokrzyżował ich plany. Do Genewy już nie wróciły.

Wkrótce w życiu Zofii Kossak miały nastąpić istotne zmiany. W 1915 roku poślubiła Stefana Szczuckiego, a kolejne dwa lata to również niezwykle ważne daty. 28 lipca 1916 roku urodziła syna - Juliusza, a 18 sierpnia 1917 roku - Tadeusza.

Małżonkowie zamieszkali w domu leżącym niedaleko pałacu w Nowosielicy. Wymieniając w cytowanym już liście swoje kolejne siedziby - dom w Nowosielicy nazwie pisarka pierwszym „mieszkaniem zamężnym". „Był to mały dom - jak wspomina autorka *Pożogi.* - Tak zabawnie mały, niski i nie pretensjonalny ze swoimi dwoma naiwnymi ganeczkami i ławkami popod oknem, że można go byto nazwać śmiało chatą".

Wszystko to młodej mężatce i matce dwóch synów przyszło stopniowo utracić - i szczęście, i piękne okolice, i wreszcie dom z taką pieczołowitością urządzany i zagospodarowywany. Przyszły lata wojny, a potem rewolucji. Udziałem młodych małżonków stało się wiele tragicznych przeżyć. Stefan Szczucki został aresztowany, Zofia długo ukrywała się a potem uciekała w chłopskim przebraniu, jej ojciec zaś ponownie zaciągnął się do wojska.

Ostatecznie pisarka z rodziną znalazła się we Lwowie, by tam - na prośbę ciężko chorego męża spisywać wszystko to, co przeżyła ona sama i jej najbliżsi. Mąż wkrótce zmarł, a Zofia Kossak, jako autorka *Pożogi*, stała się dosłownie z dnia na dzień pisarką znaną i cenioną. Tak skończyły się dzieje budowania i kolejnej utraty domu. Pisarka z bólem patrzyła, jak nieubłaganie dwór za dworem, folwark za folwarkiem popadały w zgliszcza i gruzy. Jej przeżycia z tamtego czasu trafnie oddaje zdanie wypowiedziane na wieść o rabunku Skowródek w grudniu 1917 r. „Tego dnia - napisała Zofia Kossak - śmierdzące buty żołnierzy i chłopów przeszły boleśnie po moim sercu, depcząc wszystko, co wiązało drogą nitką wspomnień między mną a odległym dniem mego dzieciństwa...".

ŚLĄSK CIESZYŃSKI – GÓRKI WIELKIE

Nowa ojczyzna oddalona o wiele kilometrów od rodzinnych gniazd Kossaków gościnnie przyjęła najpierw Tadeusza i Annę, a potem również Zofię i jej synów. Zamieszkała ona na stałe w Górkach Wielkich w 1923 roku. Jej ojciec - Tadeusz Kossak wydzierżawił tutejszy majątek w 1922 roku. Niewątpliwie to przypadek zrządził, że po wojennych przeżyciach Beskid Śląski stal się ojczyzną rodziców Zofii Kossak, ale pisarka sama tę ziemię wybrała dla siebie i swoich dzieci.

Oto, jak opisała w jednym z artykułów z cyklu Listy ze Śląska wrażenia, które towarzyszyły jej, kiedy zaczęła poznawać beskidzką ziemię: „Jeżeli miarą piękności krajobrazu jest wywołane przezeń pragnienie stałego zadomowienia się w nim, napastliwa tęsknota do życia, wtulenia się, wspólnego trwania - to Beskid Śląski jest najpiękniejszym krajem na świecie. [...] Kraj to, w który wrosnąć łatwo, ale oderwać się trudno".

Trzeba przyznać, że dom i ogród robił wrażenie na tych, którzy w Dwudziestoleciu przyjechali z wielkiego świata, żeby odwiedzić Zofię Kossak. Melchior Wańkowicz zastanawiał się na przykład, czy zobaczył kasztel obronny, resztki bastionu, czy może mury poforteczne. „To tylko dawny spichlerz Komory Cieszyńskiej - odpowiadał sam sobie - mury grube, okna niby strzelnice, dach obsadzisty".

„Dworek Kossaków tonął w przebogatej zieleni - wspominała Maria Wardas - dojrzałam go dopiero minąwszy potężnych rozmiarów murowaną, zaokrągloną bramę, prowadzącą na dziedziniec i wygodny podjazd do ciężkich, dębowych drzwi zamykanych staroświecką belką – zasuwą".

Zdaniem innych gości - wspomnianego już Wańkowicza, Kamińskiego, Sztaudyngera - dom robił ponure wrażenie. „Był jakby niedopasowany do ogrodu, trochę dumny, trochę wyniosły, spatynowany wiekiem i z lekka i umiarkowanie niesamowity". Dom ten był jednak przystanią, sacrum i centrum świata dla pisarki, która tu osiedliła się po tragicznych przeżyciach na Wschodzie. To tutaj Kossakowie starali się wprowadzić obcą na tych terenach kulturę szlachecko-dworkową. Nic więc dziwnego, że domem w Górkach, jego otoczeniem i atmosferą zachwycała się autorka *Nocy i dni*. Maria Dąbrowska w lipcu 1928 roku po raz pierwszy odwiedziła Zofię Kossak. „W Górkach bardzo mi się podobało - napisała potem w *Dziennikach* - szczególnie róże w ogrodzie, moc róż na tle sinawych gór, takich jak tła „Leonarda". Kossakowie wskrzeszają szlacheckie tradycje z XVI wieku, orzą, sieją, chodzą na wojnę i piszą. Przechowali w bardzo pięknej czystości piękne i dodatnie cechy szlachty polskiej".

Niestety, pogarszająca się sytuacja gospodarcza odrodzonego państwa, a może i nieumiejętność prowadzenia dużego gospodarstwa spowodowały, że majątek Kossaków został ostatecznie przejęty przez Związek Harcerstwa Polskiego, a dzięki energii i zapobiegliwości Zofii Kossak udało się, zgodnie z zamierzeniem, utrzymać dom i ogród. Z pewnością jednak utrata majątku była bolesnym przeżyciem dla rodziny, dla której zwłaszcza hodowla koni była zawsze prawdziwym żywiołem. Dzięki przeprowadzonej kilkakrotnie inwentaryzacji majątku, znamy nawet ich charakterystyczne imiona: Gidron, Greta, Lora, Marta, Deresz, Alraune, Franek, Bucefał, Maryna, Janek i Emilia.

W powojennym wywiadzie dla „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" Zofia Kossak powiedziała, że pobyt w Górkach w okresie międzywojennym kojarzy się jej z najszczęśliwszymi i najtragiczniejszymi latami. Można sądzić, że miała na myśli przede wszystkim przeżycia związane z życiem rodzinnym. Przypomnijmy je, zatem:

Kiedy w 1923 roku autorka *Pożogi* przyjechała razem z dziećmi do majątku rodziców, wychowywała siedmioletniego Juliusza i sześcioletniego Tadeusza. W domu w Górkach Wielkich zamieszkała z matką - Anną z Kisielnickich Kossakową i ojcem - Tadeuszem Kossakiem. W 1925 roku wyszła za mąż za zawodowego wojskowego - Zygmunta Szatkowskiego. Drugiego męża pisarka poznała podczas pobytu na Wschodzie (wspomina o nim w *Pożodze*). Zygmunt Szatkowski był wówczas ochotnikiem w oddziale partyzanckim Feliksa Jaworskiego.

Ważnym wydarzeniem w życiu państwa Szatkowskich było przyjście na świat ich dzieci. Syn - Witold urodził się 13 stycznia 1926 roku, a następnie córka - Anna 15 marca 1928 roku.

Dom rozbrzmiewał dziecięcym gwarem, miał więc powody, żeby być domem szczęśliwym. Zofia Kossak stawała się coraz popularniejszą pisarką, a przy tym żoną i matką na dobre już zadomowioną w nowym otoczeniu. Przyszedł jednak czas rodzinnej tragedii. Była nią śmierć syna - Juliusza Szczuckiego w 1926 roku. Zofia Kossak uważała, że było to dziecko szczególnie utalentowane.

„Spotkało mnie wielkie nieszczęście - pisała w liście do Maykowskiego - straciłam najstarszego synka, dziesięcioletniego, dobrego, dzielnego chłopca, prawdziwe uosobienie zdrowia, energii i radości życia. Umarł po trzydniowej chorobie”. Na nagrobku Julka na góreckim cmentarzu do dziś widnieje wizerunek Anioła tulącego dziecko i napis: „ad maiora natus sum”.

W okresie międzywojennym właśnie w Górkach Wielkich powstały najwybitniejsze utwory Zofii Kossak, a wśród nich książki poświęcone Śląskowi - *Nieznany kraj*, *Wielcy i mali*, utwory dla dzieci i młodzieży: *Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata*, *Topsy i Lupus*, *Bursztyny*, *Gród nad Jeziorem*, *Warna*, *Puszkarz Orbano*, *Legnickie Pole*, opowieści hagiograficzne: *Szaleńcy Boży*, a przede wszystkim wielkie powieści historyczne: *Złota wolność*, *Trembowla* i trylogia, która przyniosła Zofii Kossak światowy rozgłos: *Krzyżowcy*, *Król trędowaty*, *Bez oręża*.

W 1935 roku zmarł gospodarz góreckiego domu - Tadeusz Kossak. Został pochowany na pobliskim cmentarzu, gdzie spoczywał już jego najstarszy wnuk.

Rok 1939 był - podobnie jak dla wielu polskich rodzin - początkiem końca z trudem odtworzonej Arkadii. Znów w pośpiechu opuszczać przyszło dom, aby po latach zobaczyć już tylko jego ruiny. Dzieci jesienią wyjechać miały do szkoły. Major Szatkowski przebywał służbowo we Francji. Końcem sierpnia Zofia Kossak wyjechała z dziećmi na wycieczkę w Tatry. W drodze na Świnicę wszyscy usłyszeli od zapłakanej góralki wieść o powszechnej mobilizacji. Pośpiesznie wrócili do Górek, spakowali rzeczy i opuścili dawny dwór Marklowskich - jak się okazało - na zawsze.

Postanowili znaleźć azyl w swoim warszawskim mieszkaniu. Zofia Kossak bowiem razem z mężem, który był oficerem w Sztabie Głównym WP, w latach trzydziestych często przebywała w stolicy. Nikt nie przypuszczał, że wkrótce nastąpi wieloletnia okupacja a sytuację pogorszy sowiecka agresja.

WARSZAWA

Okres okupacji był dla Zofii Kossak czasem intensywnej działalności konspiracyjnej. Redagowała podziemną prasę, była współzałożycielką Rady Pomocy Żydom („Żegoty”) i za to m. in. pośmiertnie uhonorowano ją medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata” (1985 r.). Aresztowana przez Niemców przebywała najpierw na Pawiaku, skąd przewieziono ją do Oświęcimia. Nie została od razu zdekonspirowana. Działała pod przybranym nazwiskiem, gdy tymczasem Niemcy od początku okupacji poszukiwali Zofii Kossak-Szczuckiej, która w swoich książkach powstałych w latach międzywojennych, podkreślała polskość Śląska. Cudem przeżyła piekło Oświęcimia, po zdekonspirowaniu przewieziona została na Pawiak, gdzie skazano ją na śmierć. Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego została uwolniona dzięki staraniom polskiego podziemia. Trudno w tych czasach mówić o domu jako sacrum czy centrum świata. Dom - w sensie dosłownym i przenośnym, był cały czas zagrożony. Mąż przebywał z dala od rodziny, jako zawodowy wojskowy osadzony już na początku wojny w obozie jenieckim, dzieci z drugiego małżeństwa zaangażowane w pracę konspiracyjną, razem z matką narażały życie. W 1944 roku wzięły udział w Powstaniu Warszawskim, którego Anna z Kisielnickich Kossakowa - matka pisarki, nie przeżyła. Tadeusz Szczucki - drugi z synów z pierwszego małżeństwa - zginął w Oświęcimiu. Rodzina przez wiele lat nie znalazła potwierdzenia tego faktu, uważano go za zaginionego, a akt zgonu odnalazł się dopiero w 2001 roku.

ANGLIA – LONDYN, TROSSELL

Zaplanowany jako tymczasowy pobyt za granicą, zmienił się w przedłużającą się, bolesną emigrację trwającą kilkanaście lat - aż do 1957 roku. Jakiś czas pisarka razem z mężem przebywała w Londynie, potem przeniosła się w 1947 roku na Trossell Farm w południowo-zachodniej Anglii. Jej książki zdobyły w latach czterdziestych za granicą ogromną popularność, zwłaszcza powieść *Bez oręża*. Planowano sfilmowanie jej powieści, rozważano bardzo poważnie jej kandydaturę do Nagrody Nobla. Niechęć komunistycznych władz Polski zniweczyła te plany. Wśród niewielu książek powstałych na emigracji, znalazło się m. in. *Przymierze* - bardzo wysoko ocenione przez czytelników i krytyków. Zofia Kossak i jej mąż na farmie pracowali bardzo ciężko, więc często nie starczało już ani sił, ani czasu na pracę twórczą.

Jeden z emigrantów, odwiedziwszy ten dom, napisał: „Biednie tam było bardzo, ale za to gospodarze tak mili i tak gościnni, jak tylko gdzieś na kresach polskich się zdarzało [...]. Dom państwa Szatkowskich urządzony był po spartańsku, jedynie szafa biblioteczna odznaczała się wśród tej prostoty. A było co w tej szafie oglądać. Książki, tłumaczone na kilkadziesiąt języków z japońskim włącznie”. W innym liście czytamy: „Uderzył mnie wtedy widok p. Z. Kossak wygrzebującej ziemniaki w deszczu, błocie (glina) - widok, który zawsze będę miał przed oczyma. Na tapecie było wtedy „Przymierze” - musiało ustąpić miejsca ziemniakom, gumowym butom...”.

Zofia i Zygmunt Szatkowscy tęsknili za domem zostawionym w Polsce. Po przemianach politycznych w kraju i zapowiadanej „odwilży” w 1956 roku, pojawiła się nadzieja na powrót, tym bardziej, że Instytut Wydawniczy „Pax” zwrócił się do pisarki z propozycją wydawania jej książek. Uciążliwa emigracja dobiegała końca.

ŚLĄSK CIESZYŃSKI – GÓRKI WIELKIE

Zofia Kossak powróciła do Polski w lutym 1957 roku. Przybyła razem z mężem na pokładzie Królowej Wilhelminy - czteromotorowca holenderskich linii lotniczych, jej powrót był ważnym wydarzeniem i mimo, że chciała uniknąć oficjalnych powitań, na lotnisko przybyli przedstawiciele rządu, Związku Literatów Polskich, Instytutu Wydawniczego „Pax” a także rodzina i przyjaciele. O tym, jak wielkim przeżyciem był powrót do kraju świadczą nie tylko oficjalne wypowiedzi, ale i fragmenty jej listów pisane do najbliższych: „jeszcze się wzajemnie szczypiemy by sprawdzić czy to nie jest sen - pisała Zofia Kossak w liście do Marii Birkenmajerowej - Podobne uczucia przeżywa chyba człowiek w chwili zgonu, jeśli Bóg da mu łaskę dobrej śmierci i po tamtej stronie otoczy go fala bliskich, cała przeszłość. Nam było dane przeżyć taki moment za życia. Toteż żadne słowa nie odmalują naszej radości i naszego wzruszenia."

W marcu Zofia Kossak przyjechała do Górek. Razem z mężem odwiedziła kościół pw. Wszystkich Świętych i cmentarz, na którym pochowano jej ojca - Tadeusza Kossaka i dziesięcioletniego syna - Julka. Potem została zaproszona do pobliskiej szkoły. Dzieci przywitały ją pieśnią: *Ojcowski dom*, a zainspirowane przez nauczycieli przygotowały wystawę jej twórczości. Jak relacjonuje „Głos Ziemi Cieszyńskiej”, pisarka powiedziała wówczas: „Dzień dzisiejszy pozostanie mi długo w pamięci. Wróciłam pod zielony Beskid, który mnie kiedyś urzekł i do ludu, który ukochałam. Z przyjemnością słyszałam, że rodzice wasi mnie wspominają. Znałam ich jeszcze takimi, jak wy jesteście obecnie. Pozdrówcie ich serdecznie ode mnie, a mnie uważajcie za swoją babcię”. Do kroniki szkolnej autorka *Wielkich i małych* wpisała znaczące zdanie: „Powrót do ukochanych stron [...] jest tak wielką łaską Bożą, że nic już w życiu lepszego spotkać człowieka nie może”.

Miejscem, które odwiedziła w marcu 1957 roku były też ruiny jej domu spalonego w 1945 roku. Bardzo charakterystyczny jest fakt, że wspominając w prywatnym liście pobyt w Górkach, najwięcej miejsca poświęca opisowi ruin. Opis ten świadczy o tym, jak bardzo emocjonalnie była związana z domem, który, mimo wielu starań miał już nie zostać odbudowany: „Drzewa porosły jak wieże. Wierzby nad pustym basenem ogromne. [...] Chciałam ucałować próg, ale gąszcz tarniny zarósł wejście. [...] Siedzieliśmy w słońcu na szczątkach tarasu patrząc na brzozy i świerki, po których łaziliście oboje [...] Nie potrafię opowiedzieć ciężaru przeszłości, spoglądania na scenę, na której rozegrały się najpiękniejsze, najradośniejsze lata życia Ojca i moje”.

Tuż po powrocie do kraju, kiedy szczególnie interesowano się przebywającą 12 lat na emigracji pisarką, nie znalazła ona

zbyt wiele czasu na pracę twórczą. Podróżowała po Polsce, uczestniczyła w spotkaniach z czytelnikami i wygłaszała odczyty. Cały czas jednak planowała dokończenie sagi rodzinnej pt: *Dziedzictwo*, której pierwszy tom ukazał się na emigracji. Marzyła też o kolejnych książkach, ostatecznie więc zaszyła się w Górkach Wielkich, w niedużym domku ogrodnika, położonym nieopodal ruin dawnego domu i tutaj powstawały jej kolejne utwory.

Należały do nich m. in. dalszy ciąg sagi rodzinnej *Dziedzictwo*, *Troja Północy*, *Ognisty wóz*. (Współautorem III cz. *Dziedzictwa* i *Troi Północy* był mąż pisarki - Zygmunt Szatkowski).

Wracając do Polski Zofia Kossak miała nadzieję, że przemiany, które się tutaj dokonały, będą trwałe. Wkrótce jednak pisarze, a wśród nich i autorka *Nieznanego kraju* mieli się przekonać, że polski Październik nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Okazało się, że obiecywana wolność słowa miała krótki żywot. Wróciła cenzura i na podstawie kolejnych wydań i zachowanej korespondencji możemy mieć pewność, że nieraz zmuszano pisarkę do wprowadzania zmian i przeredagowywania powstałych wcześniej utworów. W takich momentach Zofia Kossak była bardzo stanowcza i godziła się na kompromis tylko wtedy, kiedy trzeba było wybrać mniejsze zło. Nie starała się zdobywać taniej popularności i stanowczo trwała przy swoich poglądach. Naraziła się władzom państwowym podpisując w 1964 r. List 34 i odmawiając przyjęcia Nagrody Państwowej (1966 r.). Krytycy znów Zofię Kossak ignorowali, choć była nadal poczytną i popularną pisarką. Dom w Górkach tętnił życiem, zwłaszcza latem, kiedy do Polski przyjeżdżały dzieci i wnuki ze Szwajcarii i Anglii. Pozostała część roku upływała pod znakiem intensywnej pracy pisarskiej.

Domek ogrodnika, w którym dziś mieści się Muzeum Zofii Kossak był już ostatnią przystanią autorki *Krzyżowców*. Zmarła w 1968 roku i pochowano ją na przykościelnym cmentarzu.

Źródło: Joanna Jurgała-Jureczka, *„Zofii Kossak dom utracony"*, wyd. Muzeum Śląska Cieszyńskiego, Cieszyn 2003



GÓRKI WIELKIE – Dwór Kossaków i Muzeum Zofii Kossak

UTWORY ZOFII KOSSAK

1922	*Pożoga*
1924	*Beatum scelus*
1926	*Kłopoty Kacperka góreckiego skrza-*
1926	*Z miłości*
1927	*Wielcy i mali*
1928	*Złota wolność*
1929	*Szaleńcy boży*
1930	*Legnickie Pole*
1931	*Dzień dzisiejszy*
1931	*Ku swoim*
1931	*Topsy i Lupus*
1932	*Nieznany kraj*
1933	*Pątniczym szlakiem*
1933	*Z dziejów Śląska*
1934	*S.O.S.!*
1934	*Szukajcie przyjaciół*
1936	*Krzyżowcy*
1936	*Bursztyny*
1936	*Puszkarz Orbano*
1937	*Król trędowaty*
1937	*Bez oręża*
1937	*Skarb śląski*
1938	*Gród nad jeziorem*
1938	*Laska Jakubowa*
1939	*Trembowla*
1939	*Warna*
1940-1944	Konspiracyjne broszury, artykuły i ulotki, m. in. *Niszczyciele*, Prawdziwe oblicze Piusa XII, *Nieulęczalni, Jesteś katolikiem... jakim?..., W piekle, Pod dyktandem Berlina*, Protest!, *Dzisiejsze oblicze wsi: reportaż z podróży, „byłem głodny...", Sprawiedliwie*
1946	*Z otchłani*
1948	*Gość Oczekiwany*
1948	*Suknia Dejaniry*
1948	*Das Antlitz der Mutter* (*Oblicze Matki*, utwór wydany tylko w przekładzie niemieckim)
1951	*Przymierze* – w języku angielskim, 1952 w języku polskim
1952	*Kielich krwi*
1953	*Błogosławiona wina*
1955	*Rok polski*
1957	*Dziedzictwo Część I*
1960	*Troja Północy* (współautor: Z. Szatkowski)
1962	*Pod lipą*
1963	*Ognisty wóz*
1963	*Prometeusz i garncarz*
1964	*Dziedzictwo Część II*
1967	*Dziedzictwo Część III* (współautor: Z. Szatkowski)

KALENDARIUM

1889	narodziny Zofii Kossak (Kośmin nad Wieprzem)
1899	tragiczna śmierć brata Zofii Kossak - Witolda
około 1910	opuszczenie Kośmina, przybycie na Wołyń
1910/1911 (?)	studia malarskie w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych
1913/1914	studia w Szkole Rysunku w Genewie
1915	ślub ze Stefanem Szczuckim
1916	narodziny syna - Juliusza Szczuckiego
1917	narodziny syna - Tadeusza Szczuckiego
1917	wybuch rewolucji bolszewickiej na Wschodzie
1921 (?)	śmierć męża pisarki - Stefana Szczuckiego
1923	przenosiny do Górek Wielkich na Śląsku Cieszyńskim
1925	ślub z Zygmuntem Szatkowskim
1926	narodziny syna - Witolda Szatkowskiego
1926	śmierć syna - Juliusza Szczuckiego
1928	narodziny córki - Anny Szatkowskiej
1939	wybuch II wojny światowej, ucieczka do Warszawy
1943	śmierć syna - Tadeusza Szczuckiego
1943	aresztowanie (Pawiak, Oświęcim)
1944	uwolnienie z Pawiaka
1944/1945	pobyt w Częstochowie
1945 -1956	pobyt w Anglii
1957	powrót do Polski
1968	śmierć Zofii Kossak
1976	śmierć Zygmunta Szatkowskiego

CIERPIENIA STAREGO ARCHITEKTA - cz. I

Ostatnio wpadła w moje ręce książka *„Przemyśl wczesnośredniowieczny"* (autor zbiorowy) wydana w serii *Orygines Polonorum*, Warszawa 2010 roku (vide QL nr 69). Książkę przeczytałem „od deski do deski". Nasunęła mi jednak szereg uwag, z którymi chciałbym się podzielić z czytelnikami Quod Libet. Może pozwolą zainteresowanym historią popatrzeć inaczej na niektóre problemy. Albo przynajmniej wzburzą krew i podniosą ciśnienie. Dlatego ten tekst nazwałem: CIERPIENIA STAREGO ARCHITEKTA*.

Całość analiz podzieliłem na 4 części. Pierwszy tekst postanowiłem poświęcić kwestiom ogólnym.

Zacznijmy od początków powstania Przemyśla. *„Z powieści minionych lat"* wiemy, że pod rokiem 981 zapisano: *„Poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są i do dziś dnia pod Rusią"*. W tej książce zapisano także, że tego samego roku Włodzimierz pokonał również inne plemię - Wiatyczów. Ci jednak zbuntowali się i książę musiał powtórzyć atak przeciwko nim w 982 roku. W kolejnym roku książę Włodzimierz pokonał z kolei Jaćwingów.

Jest to pierwsza wzmianka w źródłach pisanych, kiedy pojawia się nazwa „Przemyśl". I chociaż jest to bardzo krótka zapiska, to zawiera szereg bezcennych informacji.

Po pierwsze Przemyśl należał wcześniej do Lachów - wraz z Czerwieniem i innymi grodami. Po drugie te tereny zdobył Włodzimierz, książę kijowski. Po trzecie są one we władaniu Rusi aż do czasów pisania tej *Powieści minionych lat*, czyli do około 1117 roku (taka ostatnia data figuruje na końcu tej książki).

Historycy dokonali analizy tego tekstu i doszli do szeregu ciekawych informacji dodatkowych. Oczywiście skorzystali w tym celu z innych, interesujących materiałów historycznych. Pozwolę je sobie przypomnieć pokrótce, bo będzie to niezbędne do dalszych wniosków. Wniosków, które mnie z kolei przyprawiły o ból głowy i inne cierpienia (patrz tytuł tego tekstu).

Przede wszystkim Gerard Labuda zwrócił uwagę, że Lechici to nie są Polacy jak dotychczas to interpretowano. Tak dotychczas interpretowano zapisy z tej Powieści.... Lechici okazali się nieznanym plemieniem słowiańskim, które Labuda ostatecznie zaliczył do Słowian Zachodnich (podobnie jak Polan czy Wiślan). Tworzyło ono niezależną strukturę plemienną. Potwierdziły to przede wszystkim analizy szeregu zapisów w różnych dokumentach historycznych. Zainteresowanych odsyłam do lektury książki tego autora: *Studia nad początkami Państwa Polskiego*. To bardzo interesująca lektura.

Przy czym G. Labuda podał pełną, poprawną nazwę tego organizmu plemiennego jako Lędzianie. Jest ona stosowana do dzisiaj - z drobnymi odmianami - przez Węgrów czy inne ludy z nad Morza Czarnego. Z czasem stała się nazwą dla obecnej Polski wśród ludów południowo-wschodniej Europy.

Plemię to przestało zapewne istnieć po najeździe Włodzimierza, księcia kijowskiego. Czyli po 981 roku. Albowiem nigdy potem już nie słyszymy o jego istnieniu. Ludzie zostali zapewne wzięci do niewoli i wywiezieni w głąb Rusi. Mogli także być wymordowani, co w tamtych czasach było często stosowaną metodą wojenną. Mogli stać się również ofiarami dla bogów pogańskich (składano jeszcze wtedy ofiary z ludzi).Znajdziemy na to liczne przykłady w wielu miejscach tej Powieści... Ewentualnie mogli stać się wiernymi poddanymi i ulegać powolnej rusyfikacji. W wyjaśnieniu tych kwestii pomogłyby badania archeologiczne, ale tych - z jakichś nieznanych powodów - nie prowadzi się.

Historycy ustalili także, że Włodzimierz, książę kijowski rządził w Kijowie w latach 980-1015 (zmarł w dniu 15 lipca 1015 roku i został pochowany w cerkwi, bo przyjął chrzest w obrządku wschodnim w 988 roku). Zatem jego wyprawa na ziemie Lędzian była jedną z pierwszych w jego karierze politycznej na tronie kijowskim.

Historycy ustalili także, że trzecia część zapiski nie jest do końca zgodna z prawdą. W 1018 roku Bolesław Chrobry, książę polski (królem został dopiero w 1025 roku) najechał księstwo kijowskie, a w drodze powrotnej z wyprawy zajął Grody Czerwieńskie. Z Powieści... wynika, że księstwo kijowskie odzyskało te grody ponownie w 1031 roku, po wyprawie Jarosława Mądrego, księcia kijowskiego na Polskę (panował w latach 1016-54). Przy czym data jego najazdu nie jest do końca jednoznaczna. Z wcześniejszej zapiski wynika między innymi, że najazd na Polskę miał miejsce po „reakcji pogańskiej" w Polsce. A ta z kolei miała miejsce między 1034 a 1038 rokiem - według interpretacji danych różnych badaczy historii. Od siebie mogę tylko dodać, że w 1117 roku istotnie Przemyśl był ponownie pod panowaniem księstwa kijowskiego. A w tym okresie ta zapiska z 981 roku mniej więcej powstała.

Przedstawione wyżej dane zna każdy, kto interesuje się historią tego okresu. Natomiast problemy zaczynają się w dalszej interpretacji przedstawionych danych.

Z zapiski z 981 roku wynika , że Włodzimierz zajął szereg grodów. Chociaż z nazwy są wymienione tylko dwa: Przemyśl i Czerwień. Z kolei podczas ataku Bolesława Chrobrego, księcia polskiego - w 1018 roku - jest wymieniony tylko jeden gród : Czerwień.

Tak zaczął się pierwszy ból głowy. Który z tych grodów był stolicą Lędzian? Jedni widzieli Przemyśl, bo został wymieniony w pierwszej kolejności w zapisce z 981 roku. Drudzy widzieli Czerwień, bo w zapiskach póź-

niejszych - z 1018 roku i 1031 roku - jest mowa o *Grodach Czerwieńskich*.

Potem powstał kolejny problem. Jaki był zasięg terytorialny Państwa Lędzian? Tu historycy powołali się na dokument z 1086 roku, który wymieniał przebieg granicy wschodniej biskupstwa praskiego (chodzi o Pragę czeską - dla przypomnienia) i ołomunieckiego na rzekach: Cisa, Styr i Bug. Przy czym - po skomplikowanych analizach historycznych - datowanie wspomnianych w dokumencie granic przeniesiono do 973 roku, czyli do czasów założenia pierwszych biskupstw czeskich: w Pradze i Ołomuńcu. Polecam tu szczególnie analizy historyczne Gerarda Labudy. On to bowiem najprecyzyjniej ustalił fakty (szczególnie we wspomnianej już wcześniej jego książce).

Jest to o tyle istotne, że wschodnia granica biskupstwa ołomunieckiego była zapewne także wschodnią granicą Państwa Lędzian. Zapewne około 973 roku byli oni w jakiś sposób uzależnieni od tych biskupstw. Może byli wasalami Czech? A może podlegali tylko władzy duchowej czyli biskupstwom?

Natomiast od zachodu do tego Państwa Lędzian przylegało Państwo Wiślan. Nie wiadomo tylko, gdzie biegła granica oddzielająca te dwa organizmy państwowe. Każdy z historyków widzi ją w innym miejscu. Postanowiłem nie być gorszy. Spodziewałem się, że może to być bolesne doświadczenie. Ale czego nie robi się dla nauki. Sięgnąłem do map, przeprowadziłem kilka analiz urbanistyczno-historycznych i oto jakie uzyskałem wyniki. Pokazałem je na trzech mapach.

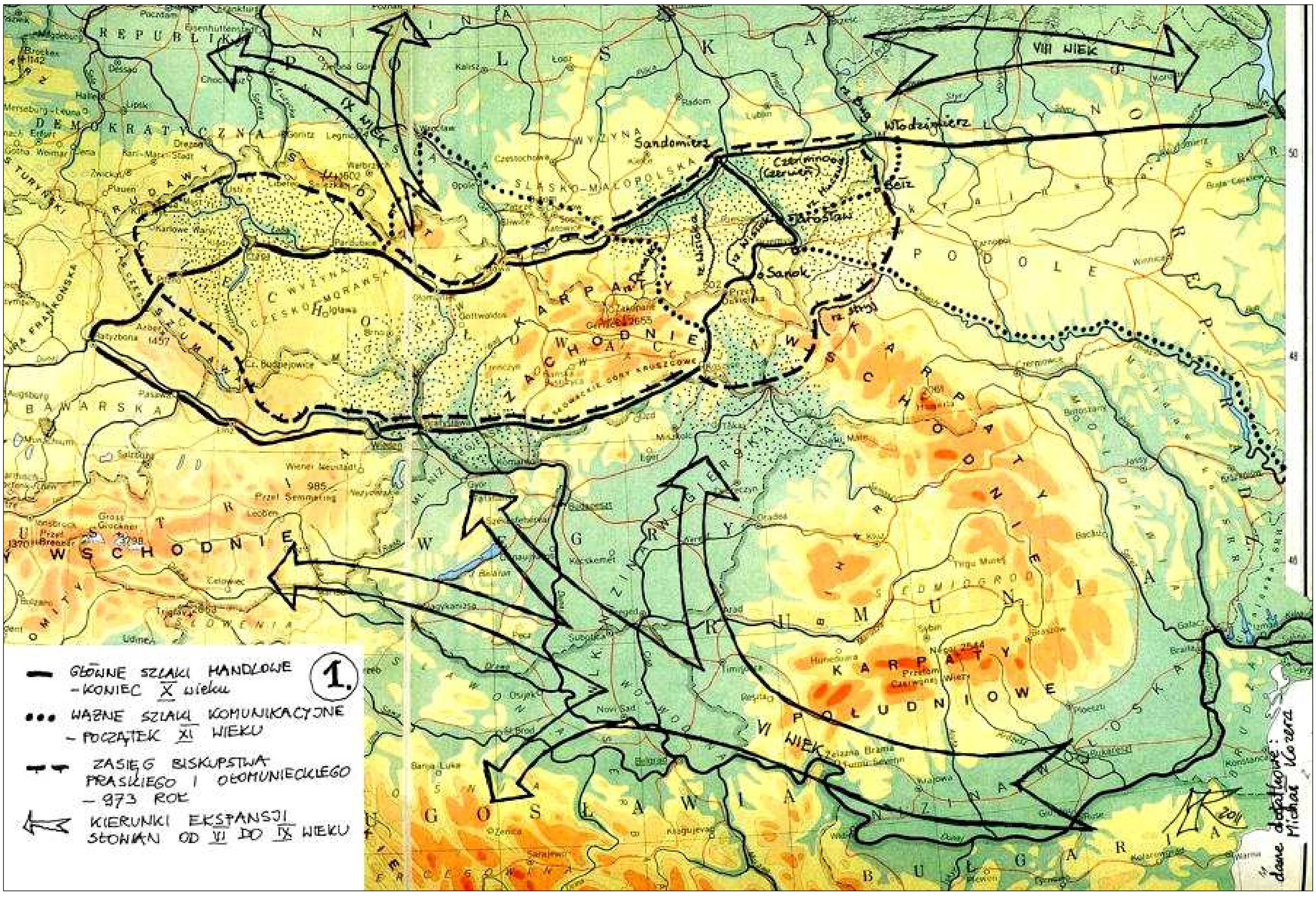
Pierwsza to zwykła mapa fizyczna środkowej Europy, a dwie pozostałe to kopie rysunków z książki Przemyśl wczesnośredniowieczny. Przy czym niczego w tych ostatnich nie zmieniałem, zachowałem wszystkie prawa autorskie dotychczasowych twórców. Dokonałem jedynie dodania kilku własnych przemyśleń nawiązujących do przedstawionych tam ustaleń. Powinny one spowodować wniesienie szeregu dodatkowych informacji i danych dla dalszych przemyśleń. Liczę, że będzie mi to wybaczone.

Zacznijmy od rysunku nr 1. Przede wszystkim pokazałem przebieg dwóch głównych szlaków handlowych między Kijowem a Ratyzboną. Bo takie miasta są wskazane, w Powieści... jako elementy docelowe szlaku handlowego.

Jeden biegł z Kijowa na zachód, przez Sandomierz, potem wzdłuż rzeki Wisły, do Krakowa, potem Ostrawy, Ołomuńca, przez Pragę, Pilzno do Ratyzbony. Jego boczny odłam (w okresie zawirowań historycznych) prowadził na fragmencie duktu: z Krakowa przez Wrocław do Pragi.

Drugi szlak zaczynał się analogicznie, z Kijowa. Następnie biegł do Sandomierza, ale potem skręcał wzdłuż rzeki San do Przemyśla. Potem prowadził przez Sanok i przełęcz Dukielską do Koszyc i dalej wzdłuż rzeki Dunaj do Ratyzbony. Szlak ten miał dwa dodatkowe połączenia. Jedno z Krakowa wzdłuż rzeki Dunajec do Koszyc. Drugie prowadziło z nad Morza Czarnego, wzdłuż rzeki Dniestr do Przemyśla i dalej omówionym szlakiem - do Ratyzbony.

Potem próbowałem ustalić granice biskupstwa praskiego i ołomunieckiego z 973 roku. Nie będę tu prowadził całej analizy, bo zajęłaby zbyt wiele miejsca. Skupię się tylko na granicy wschodniej. Przy czym nie przyjąłem ogólnie przyjętej idei



Styru jako rzeki granicznej, ale wskazałem bardziej optymalny Stryj jako rzekę graniczną w moich rozważaniach. Tym bardziej, że oryginalna zapiska z dokumentu (napisano: *Ztir*) jest praktycznie przekręcona i każda z tych obu nazw może być poprawną.

Ktoś zapyta: dlaczego rzeka Stryj, a nie Styr? Odpowiedź wydaje się prosta. Wystarczy spojrzeć na mapę. Rzeka Stryj tworzy logiczną kontynuację granicy z rzeką Bug. Tworzą razem w miarę regularną granicę. Natomiast rzeka Styr jest do Bugu praktycznie równoległa.

Z kolei wspomniane tu wcześniej Grody Czerwieńskie leżą w dorzeczu rzeki Huczwy, który jest lewym dopływem rzeki Bug (jak ustalili archeolodzy). Natomiast wiadomo także, że tereny położone między Bugiem a Styrem zajmowali Drewlanie. Czyli inne plemię.

Zatem można próbować wyznaczyć granice Państwa Lędzian w dość prosty i logiczny sposób. Od południa byłaby to rzeka Stryj, potem prosta linia do rzeki Bug i dalej, od wschodu rzeka Bug. Od północy mógłby to być szlak handlowy Kijów -Sandomierz (dokładniej Zawichost, bo tu była przeprawa przez rzekę Wisłę). Z kolei od zachodu byłaby to rzeka San. Całość zamykałaby od południowego-zachodu granica wododziałów, czyli Góry Karpaty.

Moim zdaniem to właśnie rzeka San byłaby wschodnią granicą Państwa Wiślan. Szczególnie, że na zachód od Sanu płyną dwie rzeki o bardzo podobnych nazwach: Wisłoka, prawy dopływ Wisły i Wisłok - lewy dopływ Sanu. Myślę, że nie jest to przypadek. Pojawienie się podstawowego tematu słowotwórczego Wisi- w kilku różnych nazwach rzek może wskazywać za ich jednoczasowym powstaniem. Może wszystkie miały związek z nazwą plemienia znaną dzisiaj jako Wiślanie? To jednak może oznaczać, że Kraków byłby raczej miastem granicznym tego państwa Wiślan, a nie - jak chce wielu historyków - jego stolicą. Bardziej centralnie jest zlokalizowana Wiślica. Chociaż centralnego grodu szukałbym raczej po prawej stronie rzeki Wisły. Tylko nie wiem gdzie. To powód do kolejnego bólu głowy.

A teraz w kwestii stolicy każdego z tych księstw. Przewróćmy dotychczasowe ustalenia. Może stolicy w ogóle nie było? Może była to wspólnota grodów niezależnych, tworzonych na zasadzie rodzinnej. Czyli jeden gród to jedna rodzina. Zatem po co im jakieś tam stolice? Stolice tak naprawdę pojawiły się dopiero w okresie feudalnym, kiedy intensywnie rozbudowywano strukturę pionową rządów w poszczególnych państwach. A poza tym kierują nami przyzwyczajenia wyniesione z naszych czasów. I tak mamy kolejny ból głowy.

Niezależnie, która z teorii w końcu wygra, doszedłem do następującego wniosku. Zapiska z 981 roku mówi tylko, że Włodzimierz zajął ziemie położone między Czerwieniem (dzisiaj Czermno - może „w" w nazwie zmieniło się na „m" podczas zapisywania nazwy po polsku? - uwaga moja) a Przemyślem. Dotyczy to również innych grodów położonych miedzy nimi.

Szkoda, że nie wymieniono więcej nazw, bo być może dałoby się ściślej wyznaczyć obszar Lędzian. O ile nazwy tych osad dotrwałyby do naszych czasów. Możliwe jest także, że jeżeli stolica jakaś jednak istniała, to powinna być położona gdzieś pomiędzy obu grodami. Na przykład koło Lubaczowa? Kwestię tą najlepiej powinny rozstrzygnąć dopiero badania archeologiczne. Bo najprawdopodobniej największy gród może być centrum tego Państwa Lędzian.

Natomiast zapiski z 1018 i 1031 roku mówią z kolei tylko, że Bolesław Chrobry wracając spod Kijowa zajął Grody Czerwieńskie. Po czym przyłączył je do swojego Państwa. I słusznie. Czerwień (obecnie Czermno) jest położony w dorzeczu rzeki Huczwa, podobnie jak kilka innych rozpoznanych przez archeologów grodów w tym terenie. Najważniejsze jest jednak to, że jest położony w bezpośrednim sąsiedztwie szlaku handlowego - z Kijowa do Sandomierza. Czyli przy drodze, którą na pewno wędrował Bolesław Chrobry podczas tej wyprawy wojennej - z Krakowa do Kijowa i z powrotem. Zajmując grody położone w sąsiedztwie szlaku handlowego przejmował nad nimi automatyczną kontrolę. Zresztą nikt mu się nie mógł przeciwstawić, bo wracał ze zwycięskiej batalii, a przeciwnik był chwilowo pokonany. Tym samym Bolesław Chrobry wyznaczył rzekę Bug jako nową granicę swojego Państwa. Ustanowił jednocześnie w tym miejscu punkt poboru cła czy innych świadczeń od przejeżdżających kupców.

Stąd nasuwa się kolejny wniosek. Przemyśla nie zdobył wcale, bo nie musiał. Utworzenie granicy na rzece Bug dawało mu pełna kontrolę nad obu szlakami handlowymi do Ratyzbony. Tym przez Kraków i tym przez Przemyśl. A to uzależniało księstwo kijowskie całkowicie. Przynajmniej na odcinku od Bugu do Sandomierza.

Tu należy dodać istotną uwagę. Założenie miasta Jarosław nad rzeką San przypisuje się właśnie Jarosławowi Mądremu, księciu kijowskiemu. Może założenie tego grodu wynikło właśnie z konieczności stworzenia drogi bocznej, która omijałaby odcinek szlaku komunikacyjnego zajętego przez Bolesława Chrobrego? Może powstała nowa droga od Włodzimierza przez Bełz, Jarosław do Przemyśla? A to byłby kolejny dowód na utrzymanie się Przemyśla w Księstwie Kijowskim między 1018 a 1031 rokiem. Bo stawał się jedną z osad skorygowanego szlaku południowego do Ratyzbony. Szlaku handlowego, który działał przynajmniej do czasów króla Kazimierza Wielkiego. A to powoduje oczywiście kolejny ból głowy. Kto zatem wybudował *palatium i rotundę*? Skoro nie książę Bolesław Chrobry?

W następnym odcinku: „Układ sieci drożnej w mieście Przemyślu"

Michał Kozera
marzec-kwiecień 2011

---

[*] nawiązanie do tytułu książki „*Cierpienia młodego Wertera*", chociaż nie zalecam tak drastycznych rozwiązań jakich dokonał młody człowiek wymieniony w tytule tej powieści

HISTORIA SREBRNEJ MONETY

Podczas badań archeologicznych na wzgórzu zamkowym w Przemyślu odnaleziono - w latach sześćdziesiątych XX wieku - monetę Ottona III, cesarza niemieckiego. Przypisuje jej się ogromną rolę w historii początków zabudowy wzgórza zamkowego. Spróbujmy powiedzieć o niej coś więcej.

W książce *Przemyśl wczesnośredniowieczny* (autor zbiorowy, Orygines Polonorum, Warszawa 2010) znalazłem jej kiepską podobiznę na stronie 149. Wygląda, że reprodukcję wykonano ze starego negatywu. Zapewne moneta nie zachowała się do naszych czasów.

Sięgnąłem zatem do literatury numizmatycznej. Bardzo dobrą reprodukcje rysunkową odnalazłem w książce Józefa Andrzeja Szwagrzyka *Pieniądz na ziemiach polskich X-XX wiek* (Ossolineum, 1973 rok) - strona 23.

Spróbujmy zatem monetę szczegółowo opisać.

Z jednej strony centralnie figuruje napis: **OLONII**. Nad nim jest znaczek przypominający literę „**t**" pisaną kursywą. Pod napisem jest duża litera „**A**" z dwoma kółeczkami po obu stronach tej litery, przy jej górnej części.

Na drugiej stronie jest umieszczony centralnie krzyż równoramienny z lekko poszerzonymi zakończeniami. W połowie odległości między ramionami krzyża są umieszczone kropki. Jest ich w sumie cztery. Wokół krzyża występuje napis: **EDELREDRE ANGIORVM**. Napis od wewnętrznego krzyża oddziela sznur perełek. Na zewnętrznej krawędzi także występuje rząd perełek - po obu stronach monety.

Moneta ta - w książce A. Szwagrzyka - została opisana jako denar koloński Ottona I. Autor uznał ją za tak zwaną hybrydę, powstałą na dworze Bolesława Chrobrego. Czyli że powstała przez połączenie stempli dwóch różnych monet. Z jednej strony książę kazał mincerzom umieścić imiona Ottona i Adelajdy, jego żony (stąd litera A), a z drugiej króla angielskiego Ethelreda.

Takie rozumowanie wydało mi się trochę bez sensu. Monety wczesnośredniowieczne zawierają może dziwne dla nas treści, ale nigdy nie były to informacje bez sensu. Zawsze było jakieś logiczne wytłumaczenie. Wymagało tylko dalszych poszukiwań i dociekań.

Sięgnąłem zatem do innej książki: *Coins of England & the United Kingdom (43rd edition, Spink 2008)*. Okazuje się, że było dwóch władców angielskich o tym imieniu. Jeden rządził w latach 865/866 do 871, a drugi w latach 978 do 1016. Przy czym na monetach obu tych władców napis z imieniem otacza schematyczny, uproszczony wizerunek tego króla.

Przypomnijmy również okresy panowania Ottonów. Otton I był królem niemieckim w latach 936-962, a cesarzem niemieckim w latach 962-973. Z kolei Otton III był królem niemieckim w latach 983-996, a cesarzem niemieckim w latach 996 - styczeń 1002. Był jeszcze - gwoli całej prawdy historycznej - Otton II, który był królem niemieckim w latach 961-967, a cesarzem niemieckim w latach 967-983.

To proste zestawienie dat musiało naprowadzić już przede mną





jakiegoś badacza (może R. Kiersnowskiego? - jednego z najlepszych, polskich numizmatyków) na fakt, że moneta **nie powstała na dworze Bolesława Chrobrego, ale na dworze Ottona III**. Najprawdopodobniej pomiędzy 983 a 1002 rokiem (na monecie brak jest daty, co wówczas było powszechnie stosowaną praktyką - niestety).

Poddajmy zatem monetę szczegółowej analizie.

Z jednej strony jest umieszczony centralnie krzyż typu maltańskiego. W tamtych czasach motyw bardzo popularny. Nawiązuje do wspólnoty krajów z pod znaku krzyża - czyli krajów chrześcijańskich. Napis w otoku należy odczytać: EDELRED RE [X] ANGLORVM (w oryginale zapisu monety jest „I”, a winno być „L” - może pomyłka rytownika lub błąd bicia monety?). Co w tłumaczeniu na polski oznacza mniej więcej: *Edelred król Anglii*.

Na drugiej stronie w centrum jest napis OLONII. Niektórzy badacze odczytali to jako słowo: POLONII. Tymczasem jest to klasyczny rebus stosowany na monetach w tamtych czasach. Brakuje bowiem litery „C”, co w sumie dałoby słowo COLONII (tak po łacinie pisze się miasto Kolonia). W rzeczywistości jednak tej litery nie brakuje. Obrzeże monety jest przecież w kształcie litery „C”, a przynajmniej jego część.

Nie rozszyfrowałem znaczku nad tym napisem. Ale logika nakazuje podejrzewać, że jest to klasyczna abrewiacja (taki średniowieczny skrót, wynikający z chęci uproszczenia zapisu). Może zatem oznaczać albo symbol denara (tak jak dzisiaj dolara przedstawia się w formie litery S z podwójnym lub pojedynczym, pionowym przekreśleniem) albo łacińskie słowo „*moneta*” tłumaczące się jako „*mennica*”. W sumie stosując zasady rebusu można by tę część odczytać jako „[MONETA] C[IVITATIS] COLONII” czyli: „*mennica miasta Kolonii*”.

Pozostaje jeszcze duża litera „A”. Wcześniej uważano, że jest to monogram babki Ottona III Adelajdy. A tymczasem wytłumaczenie jest dużo prostsze. Nazwa miasta Kolonii w tamtych czasach była dwuczłonowa. Pisano po łacinie: „*Colonia Agrippinensis*” czyli Kolonia Agrippiny - na cześć Agrippiny Młodszej, żony cesarza rzymskiego Klaudiusza. Teoretycznie litera „A” mogła także oznaczać „Ąlemania” czyli Niemcy. Ale to przypuszczenie jest może zbyt daleko posuniętym domniemaniem. Wszak skoro rebus, to czemu nie o kilku znaczeniach?

Skąd zatem z jednej strony wymieniony król angielski, a z drugiej strony nawiązanie do miasta Koloni i do tego jeszcze z czasów rzymskich?

Odpowiedź okazuje się banalnie prosta.

Z literatury historycznej wiadomo bowiem, że Otton III chciał stworzyć cesarstwo, w którym jednym prawem byliby objęci - na zasadach równorzędności - Włosi (Rzymianie?), Galowie, Germanie i Słowianie. Chciał nawet rozciągnąć swoje zwierzchnictwo na Bizancjum. Mówiąc inaczej - chciał stworzyć Unię Europejską. Tyle tylko, że tysiąc lat wcześniej. Nie przypadkiem na swoich pieczęciach kazał pisać: „*Renovatio Imperii Romani*”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: „*odnowa Imperium Rzymskiego*”.

Miasto Kolonia jest miastem portowym, położonym nad rzeką Ren. Już w tamtych czasach miało ścisłe kontakty z ówczesną Anglią. Zatem moneta angielsko-kolońska była klasyczną monetą propagandową, mającą połączyć dwa sąsiednie kraje. Przynajmniej przez wspólny obieg pieniądza. Tak sądzę.

A może istniała nawet taka umowa handlowa między Anglią a miastem Kolonia? Nie znalazłem jednak takiej informacji w literaturze historycznej.

Powstaje zatem inne pytanie: skąd ta moneta znalazła się tak daleko od swojego przeznaczenia, bo aż w Przemyślu (1200 km od Kolonii - w linii powietrznej)?

Znowu pomocna będzie nam literatura historyczna.

W 1000 roku Otton III spotkał się z Bolesławem Chrobrym w Gnieźnie. Tam wymieniono uprzejmości i podarunki. Bolesław otrzymał kopię włóczni św. Maurycego - ówczesnego insygnium władzy. Tu także założono wówczas arcybiskupstwo w Gnieźnie i kilka biskupstw. Dla dalszego rozwoju religii obrządku łacińskiego.

Może przy okazji również takie monety - jak opisana wyżej - znalazły się wśród polskich rycerzy czy kupców. Stąd może przywędrowała - między innymi - do Przemyśla. A może moneta trafiła dopiero po zajęciu Grodów Czerwieńskich w 1018 roku, z których ktoś przeniósł je potem do Przemyśla. Na przykład - w ramach wymiany handlowej? Bo przypominam, że - moim zdaniem - polskie wojsko nie zajęło wówczas Przemyśla. Przypomnijmy także jeszcze jeden ważny fakt omijany przez podręczniki szkolne do historii. W 1001 roku ten sam cesarz Otton III odwiedził Węgry i spotkał się ze Stefanem I Świętym. Dokonał przy tym takiej samej umowy jak rok wcześniej z Bolesławem Chrobrym. Tu także pozostawił kopię włóczni św. Maurycego. Tu także założył arcybiskupstwa. Tyle tylko, że dwa. Jedno w Ostrzyhomiu (obecnie Esztergom) i drugie w Kalocsy.

Należy zatem podejrzewać, że także tutaj pozostawiono szereg monet opisanych wyżej. Propaganda to przecież bardzo potężna broń. Dlatego należy podejrzewać, że denar miasta Kolonii mógł przywędrować również szlakiem handlowym z Węgier - przez Koszyce, Sanok do Przemyśla.

Przy czym ta druga droga - moim zdaniem - wydaje się bardziej logiczna.

A jakie jest twoje zdanie, czytelniku ?

Michał Kozera
kwiecień 2011 roku

BIESZCZADY 40

Michał Kozera, grudzień 2010 roku

Prezentujemy duży tekst poświęcony Harcerskiej Operacji „Bieszczady 40”. Podstawą do powstania tego tekstu były wspomnienia jednego z uczestników tej operacji, zapisywane dzień po dniu – od 8 do 24 lipca 1974 roku. I chociaż nie obejmują one całego turnusu (rozpoczął się 27 czerwca tegoż roku), to i tak zawierają szereg ciekawych informacji. O „tamtych czasach”, o tamtych wydarzeniach.

Zachęcamy do lektury!

Dawno, dawno temu – w Bieszczadach – odbywała się Harcerska Operacja „BIESZCZADY 40”. Rozpoczęta się w 1974 roku czyli 30 lat po wyzwoleniu tych terenów spod okupacji niemieckiej. Miała się zakończyć w 1984 roku, na 40 rocznicę utworzenia Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Stąd wspomniana „40” w nazwie operacji. Głównym celem akcji było zapewne pozyskanie wśród jej członków osób mogących w jakiś sposób osiedlić się na tych terenach w przyszłości. Czy mogących pomóc miejscowej ludności w życiu codziennym (doskwierał na tym terenie brak rąk do pracy – szczególnie w pracach polowych). Przypomnijmy, że Bieszczady były widownią walk jeszcze w 1946 roku – pomiędzy Ukraińcami a Polakami. Zakończyły się dużymi stratami wśród obu walczących stron i wśród cywilnej ludności. Ostatecznie zwycięstwo odniosła strona polska. Ukraińcy zostali albo wywiezieni na teren dzisiejszej Ukrainy albo wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych Ameryki czy Kanady.

Sama akcja „Bieszczady 40” nie doczekała się zakończenia. Jak wiemy z historii, w dniu 13 grudnia 1981 roku ogłoszono stan wojenny w Polsce. Zatem kontynuowanie tej akcji, po tej dacie, straciło jakikolwiek sens.

Pierwszy rok działania akcji trwał w dwóch turach – jedna w lipcu, a druga w sierpniu 1974 roku. Poszczególne szczepy i drużyny harcerskie zostały „rozrzucone” po całych Bieszczadach, w obozach-stanicach. Miały za zadanie przede wszystkim pomagać miejscowej ludności, szczególnie w okresie żniw. Ale nie tylko. Przewidziane były dodatkowo piesze wędrówki po całych Bieszczadach. Celem było zapoznanie się z pięknym krajobrazem i przyrodą tych terenów. Każda ze stanic miała również do zrealizowania swoje założenia czysto harcerskie, jak: uzupełnianie sprawności o kolejne, nowe; zdobywanie stopni harcerskich; szkolenia w różnych dziedzinach itp.





Tu opisany obóz był trochę nietypowy. Został wyznaczony jako zaplecze sztabu operacji. Jego podstawowym zadaniem było zapewnienie służb wartowniczych, a także wykonywanie szeregu innych działań dla potrzeb sztabu: obsługa łącznicy telefonicznej, obsługa zlotu wszystkich stanic czy prozaiczne prace, jak dostarczanie prasy, pielęgnacja ogródka przy hoteliku koło sztabu czy inne. Nawet w ramach obowiązków dla obozu sztabowego zalecono postawić dodatkowo jeden z obozów harcerskich dla grupy mniej formalnych harcerzy. Chodzi o muzyków biorących udział w operacji, których ręce wymagały „specjalnej ochrony”, szczególnie przed pracą fizyczną.

Na początek przedstawiam skład obozu. Znam go tylko dzięki kartce pocztowej, na której podpisali się wszyscy uczestnicy (bez drużyny harcerskiej z Mielca, stanowiącej niewielką część uczestników). Kartkę udało się przechować szczęśliwie do naszych czasów. Reprodukujemy ją.

KOMENDA OBOZU – Harcerska Operacja „Bieszczady 40”:

- Prof. Zofia Rychel – *opiekun z ramienia II Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie*
- Zbigniew Pirzański – *Komendant obozu* (Matura w 1971 roku)
- Kazimierz Brzozowski – *drużynowy „Tarnicy”* (M: 1973 rok)
- Janusz Marchewka – *drużynowy „Otrytu”*
- Krystyna Wyroba – *oboźna* (M: 1974 rok)
- Krzysztof Żero – *magazynier* (M: 1975 rok)
- Magdalena Migas – *członek komendy* (M: 1974 rok)
- Elżbieta Dziewińska – *członek komendy* (M: 1974 rok)
- Małgorzata Mańkowska – *członek komendy* (M: 1974 rok)
- Jacek Ziółkowski – *członek komendy* (M: 1974 rok)
- Anna Słabik – *członek komendy* (M: 1974 rok)

Zastęp *„Świstaki”*:

- Andrzej Wysocki ps. *„Bitum”* – *zastępowy* (M: 1975)
- Janusz Kossek (M: 1975)
- Marek Piekarczyk, ps. *„Ziuta”* (M: 1975)
- Michał Kozera (M: 1976)
- Stanisław Trojan (M: 1976)
- Paweł (Zdzisław) Wróblewski, ps. *„Wróbel”* (M: 1976)
- Andrzej Królel, ps. *„Ryba”* (M: 1977)
- Bogdan Marzec (M: 1977)
- Ryszard (Tomasz) Zieliński (M: 1977)

Zastęp *„Uhryń”* (ps. Wężyki):

- Tomasz Langie (M: 1976)
- Jacek Schnotale (M: 1976)
- Paweł Bielański (M: 1977)
- Krzysztof Drohomirecki, ps. *„Drop”*
- Bogusław Onderka (M: 1977)
- Bolesław Rawski
- Jacek Sawczyński
- Zbigniew Wąs (M: 1977)

Zastęp *„Kremenaros”*:

- Lucyna Cios (M : 1975),
- Marta Grelowska (M: 1975)
- Bożena Lisicka (M: 1976)
- Irena Walbiner (M: 1976)
- Barbara Marosz
- Lidia Rawska (M: 1977)
- Jolanta n.n. (*Fela?*)

Zastęp „Olszyny”:

- Teresa Bierkowska (M: 1977)
- Dorota Janusz (M: 1977)
- Małgorzata Koćwin (M: 1977)
- Barbara Marcinów (M: 1977)
- Małgorzata Ohly (M: 1977)
- Monika Ostrowska (M: 1977)
- Anna Sawczyńska (M: 1977)
- Małgorzata Wadas (M: 1977)
- Małgorzata Rychel (M: 1979)

Zastęp „Uherce”:

- Anna Trojan (M: 1975)
- Maria Bator, ps. „Mary” (M: 1976)
- Bogusława Kozek (M: 1976)
- Anna Machnik (M: 1976)
- Halina Słomczyńska (M: 1976)
- Bożena Szmal, ps. *„Encia”* (M: 1976)
- Barbara Głut (M: 1977)
- Izabella Mostowska (M: 1977)
- n.n., ps. *„Dziecko”* (M: 1977)
- n.n. (Mana?)

<u>Uwaga:</u> Wszystkie osoby biorące udział zostały wymienione. Przynależność do poszczególnych zastępów może być z błędami (upływ czasu, nieprecyzyjne dane). M = matura (podano daty roczne zdania matury). W obozie brała udział grupa harcerzy ze szczepów z Mielca – skład osobowy jest mi nieznany – około 20 osób.

Zapiski podzielono na trzy części składowe:

<u>Pierwsza część</u> to oryginalny tekst z tamtych czasów – szczęśliwie przechowany do dzisiaj. Nie jest on może zbyt „literacki”. Pamiętajmy jednak, że był pisany przez ucznia drugiej klasy liceum i to – dodajmy bez cienia przechwałki – bez aspiracji literackich.

<u>Druga część</u> to teksty niektórych piosenek, śpiewanych wówczas przy wieczornych ogniskach lub kominkach (to ostatnie

miało miejsce, jeżeli nie było pogody, zatem w sali przedszkola położonego niedaleko obozu – przyp. autora). Przy czym przedstawiono tu piosenki o charakterze nie harcerskim, gdyż te są już dzisiaj w większości przypadków zapewne nieznane. Ich treść – poza tym – prawdopodobnie już się częściowo zdezaktualizowała, ale są świadectwem swojej epoki. Harcerskich nie przytoczono, bo te są nadal śpiewane – nawet do dzisiaj – w niezmienionej formie i treści. Zatem ich treść jest doskonale nadal znana.

Trzecia część to komentarz odautorski. W niektórych miejscach był konieczny, aby zrozumieć, czego dotyczą zapiski. Podano również krótki słowniczek niektórych terminów czy słów – tych, które dzisiaj będą najprawdopodobniej niezrozumiałe. Szczególnie dla młodszego pokolenia.

Jak już wspomniano wcześniej – zapiski zaczynają się w dniu 8 lipca 1974 roku. Okres od 27 czerwca do wspomnianej tu daty nie jest obecnie znany. Może nigdy nie powstały? Może prowadzenie zapisków nastąpiło przypadkiem pewnego dnia? Może były, ale zaginęły bez wieści? Trudno to teraz jednoznacznie ustalić. Bazujmy zatem na tym, co mamy :

8 lipca 1974 roku. Dzisiaj o dziesiątej (*22^{00}* – przyp. autora) miałem z całym moim zastępem Świstaki przegon. Na przegonie dwie osoby „dały nogę", która ich kosztowała pokonanie dwa razy dłuższej trasy – do Ustrzyk (Dolnych – przyp. autora) i z powrotem. (...) Na przegonie zmoczyłem drugie spodnie (*ćwiczenia „przegonu" wykonywaliśmy na trawie pokrytej rosą* – przyp. autora).

Komentarz. „Przegon" był formą kary dla niegrzecznych harcerzy. Szczególnie tych, którzy po ciszy nocnej nadal gadali czy byli niegrzeczni. Polegał na „przegonieniu" zainteresowanych po określonej trasie, w połączeniu z przysiadami, pompkami i innymi ćwiczeniami fizycznymi. Dawało to wystarczające zmęczenie organizmu, aby po powrocie zasnąć szybko i do tego kamiennym snem. Oczywiście na tego typu „imprezach" ktoś się czasem wyłamywał. A to uciekł czy polemizował z prowadzącym zajęcia. Wtedy dostawał dodatkowe zajęcia. Albo więcej ćwiczeń, albo dodatkowy marszobieg . W tym przypadku winni zostali wysłani do Ustrzyk Dolnych (od obozu było to około 2,5 km w jedną stronę). Nie słyszałem , aby z tego powodu potem ktoś czuł się szczególnie szykanowany. Karę przyjmowano ze spokojem. A poza tym bywała na tyle skuteczna, że więcej w obozie nikt nie ryzykował dla jej ponownego odbycia. Biedny był tylko drużynowy, bo musiał ją z całym zastępem odbyć. Mimo, że sam był niewinny.

9 lipca. Dzisiaj, po południu, i przed, świeciło słońce, więc miałem okazję wyprać brudne skarpety, a mokre rzeczy z przegonu wysuszyć. Mieliśmy zajęcia z sygnalizacji, po których – po małym „sprawdzianiku" – graliśmy w brydża. Biedne dziewczęta męczyły się za nas. Po południu grałem w siatkówkę z nowo przybyłym zastępem złożonym z maturzystek, które właśnie zdały egzaminy na wyższe uczelnie. Nie został rozstrzygnięty mecz o to, kto pójdzie na wartę, a kto będzie „jadł kredki". Po kolacji odbyło się ognisko, które było rozpalane z dobrą godzinę. Na ognisku zaprezentowała przede wszystkim swój repertuar drużyna mielecka, na którym oprócz piosenek były trzy skecze – jeden znany z zakończenia roku szkolnego, inne nawet dość dobre – choć niedouczone. Poza tym błysnęli formą w solówce Bitum z Januszem – w piosence, którą mam zapisaną na początku notatnika tego – o pijakach.

(Słowa i muzyka: autor mi nieznany)

W piwnicznej izbie siedzę sam
Nad kuflem pełnym piwa,
Oczyma wodzę tu i tam,
A głowa mi się kiwa.

Ja nie dbam o czerwony nos
I oto, że wciąż tyję.
Ja biorę kufel w ręce swe
piję, i piję i piję (do dna).

A gdyby mi ktoś wybór dał
Dziewczynę, konia, trunek.
I rzekł: – Wybieraj sam, co chcesz –
Ja płacę za rachunek.

Na próżno dziewczę wdzięczy się,
A koń wyciąga szyję.
Ja biorę kufel w ręce swe
I piję, i pije, i piję (do dna).

A gdy nadejdzie sądu czas,
I stanę u stóp tronu,
Pokłonię się aż po sam pas
I rzeknę bez pardonu.

Rozkoszy rajskich nie chcą znać
I wiedzieć, gdzie się kryją.
Tylko mnie Panie Boże wsadź,
Gdzie piją, gdzie pija, gdzie piją.

Ogryzam już ostatnią kość
I piwo mi smakuje,
Tak jeszcze bym się napił coś,
Lecz forsy już brakuje.

I choć do domu ciągnie mnie,
Mówią, że tutaj zgniję.
Ja biorę kufel w ręce swe
I piję, i piję, i piję.

Nie ważne z jakiej jesteś wsi
I jaka twa rodzinka.
Musisz postawić setę mi,
Bo gniewać się zaczynam.

Choć mam człowieku minę złą,
To ja się z tym nie kryję,
Że lubię tylko flachę mą,
Więc piję i piję i piję.

Gdy do roboty chęci masz,
To ukłon w twoje stronę.
Gdy tylko zapach mleka znasz
Odpowiedz mi ukłonem.

Lecz niech frajerzy obok mnie
Całymi dniami „szyją"
I tak do knajpy zmierzam tu,
Gdzie piją, gdzie piją, gdzie piją.

Przyjąłem do roboty się
Na Dworcu Głównym Kraków,
Lecz zaraz wyrzucili mnie.
Nie trzeba im pijaków.

Więc niech się mój pijacki śpiew
Pod same niebo wzbija.
Ja biorę kufel – tłumiąc gniew–
I piję, i piję, i piję.

Gdyby stanęli obok mnie,
Policjant i dziewczyna.
Dziewczyna mnie wyciągnąć chce,
Policjant bić zaczyna.

Na darmo dziewczę ściska mnie,
A policjanci biją.
W tej knajpie właśnie siedzieć chcę,
Gdzie piją, gdzie piją, gdzie piją.

Serce mam chore, płuca też,
Wątroby nie mam wcale.
Czasami rzucam się jak zwierz
W pijackim strasznym szale.

Tak nerki nawalają mi,
Że aż się z bólu wiję.
Ja jednak biorę porcję swą
I piję, i piję, i piję.

Kiedy się wywrócę gdzieś,
To ludzie mnie podnoszą.
Śpiewają wszyscy moją pieśń
I o autograf proszą.

Lecz ja nad wanną stoję swą,
Się w alkoholu myję,
A potem sam wskakuję w nią
I piję, i piję, i piję.

Komentarz. Jak widać – piosenka nie jest krótka. To właśnie jest ta wspomniana w opisie. Na każdy obóz – w terminie ciut późniejszym – przybywała grupa „maturzystów". Zatem tych, którzy w danym roku zdawali maturę (maj-czerwiec) i potem zdawali egzaminy wstępne na uczelnie (na początku lipca). Na tym obozie była to kilkuosobowa grupa. Po przybyciu na obóz harcerski byli kierowani do dyspozycji komendanta obozu. Spali w osobnych namiotach. Nie obowiązywał ich rygor typowych zajęć, gdyż zwykłe był to ich ostatni obóz. Idąc na studia raczej nie planowali dalszej działalności harcerskiej. Pomagali komendantowi obozu w różnych zajęciach specjalnych: przygotowanie młodszych roczników do przysięgi harcerskiej, prowadzenie zajęć ze znajomości zagadnień potrzebnych do zdawania na stopnie harcerskie, które odbywały się pod koniec obozu itp.

Z zapisek widać, że na obozie bywały też zajęcia ogólnorozwojowe. A to gry sportowe (siatkówka, koszykówka), a to gry intelektualne (brydż). Tego dnia były też zajęcia z sygnalizacji, które zastęp męski zaliczył szybko, a dziewczęta ćwiczyły „trochę" dłużej. Pod koniec dnia zwykle było ognisko lub kominek. Rodzaj zajęć zależał od pogody. Pierwszy odbywał się na zewnątrz, na „świeżym" powietrzu. A drugi odbywał się w świetlicy przedszkolnej w razie deszczu. Przy czym obowiązywała zasada, że zapalanie ognia odbywa się od jednej zapałki – bez stosowania wspomagaczy. Tu widać, że były z tym kłopoty. Zapewne drewno było mokre lub kiepski rozpalający. Dwa zastępy na ten obóz przybyły z Mielca, z tamtejszych drużyn harcerskich. Oni byli gospodarzami ogniska tego dnia.

10 lipca. Dzisiaj od samego rana pada deszcz. Obóz pływa w wodzie. Sąsiadujący z naszym namiotem namiot zastępu „Wężyki", a raczej same „Wężyki", wykonywały karną pracę w samych kąpielówkach, czym wzbudziły dużą sensację. W świetlicy grałem w brydża (...). Potem było szkolenie z komendantem Zbyszkiem – z zakresu historii i ogólnych wiadomości.

Deszcz w dalszym ciągu pada. Po obiedzie Kaziu miał krótki wykład z turystyki, a potem poszliśmy do kina. Niestety, biletów już nie było, bo Jacek Schnotale za późno dojechał i nie dostał. A ponieważ byliśmy już w Ustrzykach (*Dolnych* – przyp. autora), wiec poszliśmy na ciastko (...). Wieczorem był kominek, na którym wreszcie nasz zastęp mógł popisać się. Po odśpiewaniu *„Będzie lało..."* Bitum i Rysiek odmówili dialog o Janie i Hrabim. Poza tym popisały się także zastępy: Uherce i Kremenaros przez siebie ułożonymi piosenkami – na melodie znanych piosenek.

na melodię: „Zenek Zdankiewicz to chłopak morowy...")

Nasz druh komendant to chłopak morowy,
Zabrał nas do Równi, na obóz sztabowy.

Na „kwaterką" wiara licznie się zjawiła,
Zamiast stawiać obóz „enesy" nosiła.

Nasza cała wiara w czwartek przyjechała,
Gdy ujrzała obóz do reszty zgłupiała,

Kawał nędznej łąki ogrodzonej siatką,
Dalej brudna rzeczka, z jeszcze gorszą kładką.

Tu nasze namioty rozbite w półkole,

Dalej szosa, szkoła, obleśne przedszkole.

W tym właśnie przedszkolu żarcie przyrządzają,
I każdą potrawę na kartki wydają.

Chociaż się komenda na kartki stołuje,
Ale do przegonów sił im nie brakuje.

Lecz chyba nasz Kaziu na lewo coś wsuwa,
Bo w górę czterdziestką tandemem zasuwa.

Wszyscy tu mieszkamy w zielonych namiotach,
lecz nasza komenda w akwariach się miota.

W pierwszej budce Krysia z Anią urzędują,
Znalezione rzeczy w głębi melinują.
W drugiej budce Zbyszek z „matyldą” przy głowie,
Znalezioną z Krysią, na wycieczce w rowie.

O męskiej komendzie już nie wspominamy,
Wszystkie ich postępki milczeniem zbywamy.

Mysza dniem i nocą przy apteczce czuwa,
I obóz wydajnie lekami zatruwa.

Jeśli ktoś przypadkiem wyzdrowieje gładko,
Mysza go dobija swoja własna łapką.

W zastępie Uherce dziwnie i zdradziecko,
Chociaż bez tatusia, zdarzyło się „Dziecko”.

A zastęp Świstaki na czele drużyny,
Pierwsi do „przegonu”, pierwsi do dziewczyny.

Kiedy Tomek Lange Bogusię podrywał,
W Uherców namiocie bez przerwy przebywał.

A nasza Halinka gubi okulary,
W zastępie Świstaków ciągle szuka pary.

A zastęp Świstaki z Bitumem na czele,
Patrzą na Żabusię jak na złote ciele.

Na razie na nowe przygody czekamy,
Wtedy resztę wiary naszej obgadamy...

(na melodię: „Z popielnika na Wojtusia...”)

Z popielnika na nasz obóz iskiereczka mruga
Chodźmy wszyscy, posłuchajmy, bajka będzie długa.

Była sobie raz dziewczyna i był sobie chłopak,

Założyli klawy obóz, w Równi nad potokiem.

Chociaż potok trochę brudny, woda bystro płynie,
Miło spędza czas chłopczyna przy swojej dziewczynie.

A DLACZEGO?

na melodię: „Czarne oczy...”)

A wszystko te czarne oczy, umilają czas,
Czy to rankiem czy to w nocy nie opuszczą nas.

Chociaż praca jest nie lekka – w sztabie czy w obozie,
Nie zniechęca to nikogo, wesoło nam co dzień.

(na melodię „Ta joj...”)

Że Kaziu jest morowy, to każdy Bitum wie,
Tarnicy drużynowy. I wszystko jest o'key.
Refren: Ta joj ta Kaziu...

Otrytu drużynowy wesołą minę ma.
Przez majdan ciągle biega i śmieje się cha cha
Refren : Ta joj ta Janusz…

A trzeci drużynowy przystojną gębę ma,
Za bardzo nie trać głowy, bo jedno serce ma.
Refren: Ta joj ta Zdzisiu...

Komentarz. Tego dnia padał deszcz. Zatem prowadzone były kolejne zajęcia z wiedzy harcerskiej. Będą one potem potrzebne do zdawania na poszczególne stopnie harcerskie. Kominek odbywał się w świetlicy przedszkola stojącego obok obozu. Tam także jadaliśmy wszystkie trzy posiłki: śniadanie, obiad i kolacje. Teoretycznie mogliśmy je przygotowywać w kuchni polowej, bo taką mieliśmy z demobilu wojskowego. Jednak było nam to darowane. I nie obciążało nas aż tak czasowo (przypominam chociażby o konieczności obrania ziemniaków dla 200 osób, bo tyle mniej więcej liczył cały obóz).

Na kominku żeńskie zastępy zaprezentowały piosenki o obozie. Są one podane wyżej, gdyż odnalazły się w tych samych zapiskach kronikarskich. Czytelnikom należy się kilka wyjaśnień. Równia to wieś, w której był zlokalizowany obóz. Namioty ułożone w literę „C” stały na łące, na jego tyłach. W centrum był maszt, gdzie na apelu wciągano flagę każdego ranka, a zdejmowano wieczorem. Przy wejściu do przedszkola była wartownia, gdzie całą dobę stał wartownik, czyli wyznaczone osoby z jednego z zastępów – zgodnie z harmonogramem podanym na porannym apelu.

„Enesy” to były specjalne namioty wojskowe, które należało zmontować w niektórych stancjach. W naszym obozie miała je komendantura. Zamontowane w nich świetliki (doprowadzające światło do wnętrza) spowodowały nadanie im przezwiska „akwarium”. Namioty te miały jedna wadę. Były sprowadzone specjalnie na tą akcję harcerską i były „niedotarte”. Składały się z dwóch powłok płótna i z metalowego szkieletu konstrukcyjnego. Ten ostatni był tak fatalnie wykonany, że złożenie elementów w całość wymagało niezłej kondycji fizycznej, z użyciem toporków włącznie. W teorii zapewne były dobre i obliczone nawet na wykorzystanie w warunkach zimowych, ale w praktyce... Prawdopodobnie były wprowadzone tytułem eksperymentu, jako mienie wojskowe do sprawdzenia w warunkach polowych.

Obóz otrzymał także kilka rowerów typu „tandem”, czyli przeznaczonych dla dwóch osób. Były one dla nas wybawieniem. Szczególnie przy podróżach do obozu sztabowego, gdzie miedzy innymi pełniliśmy wartę. Oba obozy były oddalone od siebie o około 2,5–3,0 km. Była to wówczas jedyna marka rowerów w Polsce – ROMET. Szczególnie były przydatne w drodze powrotnej. Albowiem na tej trasie trzeba było zasadniczo jechać pod górkę, co dla pojedynczej osoby mogłoby być znacznym utrudnieniem. Dodatkowym problemem podczas jazdy mógł być deszcz, który w te wakacje spadał szczególnie w dużych ilościach.

„Matylda” to maskotka Komendanta obozu, a „dziecko” to pseudonim jednej z harcerek. Kaziu (Kazimierz Brzozowski), Janusz (Janusz Marchewek) i Zdzichu (brak pełnego nazwiska) to drużynowi poszczególnych drużyn. Ten ostatni był zapewne drużynowym drużyny z Mielca.

11 lipiec. Po wczorajszym deszczu na majdanie zrobiło się piękne błotko, w którym wszyscy bez wyjątku grzęzną. Przed południem mieliśmy zajęcia z przeszkolenia OSO (*Odznaka Sprawności Obronnej* – przyp. autora), podczas których czekało nas wiele wrażeń. Przy przejściu przez mostek dziewczęta przechodziły przy fali sztormowej, którą wytwarzali Bitum z resztą Świstaków (...). Po wszystkim pojawił się druh Marchewek i porobił kilka zdjęć (...). Potem było ogólne szkolenie z „pionierki”. Po powrocie do obozu zaczął znowu padać deszcz. A jak leje deszcz, to najlepiej grać w brydża (...). Potem był obiad (...). Po obiedzie odpisywałem piosenkę. Z ciekawszych wydarzeń należy zaliczyć jeszcze pojawienie się kapitana Pietrzaka, który przy pomocy krótkofalówki porozumiewał się z innymi żołnierzami, którzy naprawiali linię przeciętą przez chłopców z wioski. Złapali ich i prawdopodobnie ukarali. O szóstej wieczór (*18^{00} – przyp. autora*) wyjechaliśmy autobusem do Ustrzyk Dolnych, do sztabu, gdzie po raz trzeci przypada nam pełnić przez dwadzieścia cztery godziny służbę wartowniczą. Polega ona na pełnieniu warty przy bramie, obsłudze łącznicy (*chodzi o łącznicę telefoniczną, która zapewniała łączność ze wszystkimi stanicami w Bieszczadach* – przyp. autora) oraz na wykonywaniu wszelkich, innych zadań ogólnych, niezwiązanych ze służbą wartowniczą. Ciekawsze wydarzenia w sztabie: ciekawa kolacja, pilnowanie budki zielonej z przyborami harcerskimi, pojawienie się pierwszego wydania gazety „Na przełaj przez Bieszczady” (...). Na warcie stałem między ósmą a dziesiątą (*20^{00} a 22^{00}* – przyp. autora). Dzięki temu mogłem posłuchać w całości jednego dnia z festiwalu w Kołobrzegu.

Komentarz. Wspomniany deszcz będzie nas prześladował do końca obozu. Błotko na centralnym placu (tak zwanym „majdanie") osiągnie taki status, że w końcu wszyscy harcerze będą poruszać się tylko w gumiakach.

Wspomniany kapitan był z Ludowego Wojska Polskiego. Albowiem to wojsko zapewniało łączność między poszczególnymi stanicami i obozem sztabowym. Przypomnijmy, że wojsko odgrywało w tej operacji harcerskiej znaczną rolę. W sztabie zwykle rezydowali wojskowi w stopniach od porucznika do podpułkownika. Czy była to z ich strony tylko pomoc, czy jakieś głębsze zamierzenie? Tego nie wiem.

Jak z opisu widać, czasami na dwudziestoczterogodzinną służbę dojeżdżaliśmy nie tylko „tandemami” ale także autobusem PKS (Państwowej Komunikacji Samochodowej). Zajęcia podczas warty opisano wyżej. Oczywiście nie staliśmy na warcie „non stop”. Zwykle zmiany były co dwie godziny lub coś koło tego. W przerwach – jeżeli nie było specjalnych zadań ze sztabu – mogliśmy spać w hoteliku przyległym do sztabu akcji. Podczas warty, jeżeli odbywała się przy oknie sztabu, można było we właściwych godzinach posłuchać i pooglądać telewizję. Oczy-

wiście, jeżeli w sztabie nie siedział jakiś służbista. No i nie mogło się to odbyć ze szkodą dla pełnionej warty.

W czasie operacji wydawano też gazetę operacyjną. Nazwa wskazuje, że jej trzon zapewne stanowili redaktorzy całorocznej gazety harcerskiej „Na przełaj" – wówczas popularnej w kręgach harcerskich. Tu nieznacznie rozszerzono tytuł. W lipcu wydano dwa numery. Nawet miałem jeden z numerów, ale zaginął na przestrzeni lat. Szkoda. Ciekawy jaki byłby odbiór po latach?

12 lipca. Dzisiaj miałem po raz pierwszy od kilku dni okazję wyspać się (10 godzin). Po śniadaniu mieliśmy przygotować jadalnię i świetlicę na naradę. Dostaliśmy pochwałę od Wolniaka (*dzisiaj nie wiem kto to – zapewne ktoś ze sztabu* – przyp. autora). Dzisiaj znowu cały dzień leje i zanosi się na dłużej. (...) Potem poszedłem spać aż do wpół do szóstej, kiedy to obudził mnie Paweł (...). W tej chwili w namiocie pojawiła się nasza zmiana i zaczęła zrzędzić (...). Po kolacji był alarm, który my, tzn. służba wartownicza, – „olała go" (*nie wzięła w nim udziału – w wolnym tłumaczeniu* – przyp. autora). Podczas alarmu Świstaki i Kremenaros zebrały się w namiocie tych drugich, gdzie gadaliśmy do końca (...).

Komentarz. Służba wartownicza była zwolniona z wszelkich zajęć obozowych. Przynajmniej przez kolejnych dwanaście godzin. Jeżeli ktoś był nadgorliwy, mógł we wspomnianym tu alarmie wziąć udział, ale tylko na własne życzenie.

13 lipca. Dzisiaj rano, po zjedzeniu śniadania, wybraliśmy się (...) do porządkowania hoteliku. Praca nasza polegała na porządkowaniu obejścia oraz niwelacji terenu. Po południu nosiliśmy łóżka, a także przywieźliśmy z placu budowlanego szyby z oknami (jechaliśmy bardzo ostrożnie). Poza tym mieliśmy okazję zobaczyć na własne oczy Naczelnika ZHP (bardzo brzydki, ryży facet), a do obozu też przyjechały jakieś szychy. Wszyscy skakali koło nich jak koło jajek. Trzeba to sobie przyznać. Po kolacji nastąpiło przygotowanie do jutrzejszej służby podczas zlotu. Do najmniej przyjemnych zajęć należało przyszycie plakietki Bieszczad i plakietki zlotu – w ciemną noc, przy świetle latarki (trzeba przyznać, że nawet dobrze mi się przyszyło). Poza tym wszystkie Świstaki zakłóciły mi nocną ciszę i nie za bardzo wyspałem się.

(tekst: autor nieznany, muzyka na bluesowo)

Łopata musi być długa,
Żeby wykopać nią grób.
Dziewczyna musi być ładna
Bym ja pokochać mógł.

Grób musi być głęboki,
By trumna zmieściła się.
Dziewczyna musi być wierna
Bym kochał ja po grób.

Grób kopać trzeba szybko,
Nie może padać deszcz.
Dziewczyna musi być gibka,
Ona musi być szybka też.

Na pogrzebie jest ponuro,
Na pogrzebie smutno jest.
Gdy wreszcie szlag mnie trafi,
Uroń dziewczyno chociaż łzę.

Łopata stara, zardzewiała,
Łopata bez trzonka, bez szufli,
Łopata stara, rodzinna,
Charoszaja łopata blues.

Komentarz. Na dzień 14 lipca był zaplanowany zlot wszystkich stanic w Bieszczadach. Ponieważ nasz obóz był sztabowy, to naszym dodatkowym zadaniem było przygotowanie zaplecza zlotu zgodnie z wytycznymi kierownictwa sztabu. Stąd przygotowanie hoteliku dla VIP-ów wraz z otoczeniem. Stąd uzupełnienie umundurowania o różne plakietki – zapewne dostarczone w ostatniej chwili.

Ten „ryży" Naczelnik ZHP nazywał się Wojciechowski. Imienia nie pamiętam. Nie był to jednak typowy harcerz, ale typowy działacz polityczny byłej PZPR. (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). O harcerstwie miał blade pojęcie, a na Naczelnika ZHP został wybrany „po linii partyjnej". O jego kiepskiej znajomości przydzielonej mu organizacji zaświadcza chociażby fakt, że nie wiedział, co harcerze noszą na jednym z ramion. Pytał o to w czasie zlotu harcerzy podczas przeglądu drużyn. Chodziło o zwykłe sprawności harcerskie.

Dodajmy, że w 1974 roku partia próbowała podporządkować sobie całe harcerstwo. To wtedy powstały szczepy i drużyny Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej w skrócie HSPS). Wyróżniały się mundurami w stylu pionierów radzieckich z charakterystycznymi „krajkami" (rodzaj krawata z plecionego, wielobarwnego sznurka). W naszym szczepie takie umundurowanie „nie przeszło". Na hasło komendanta naszego szczepu o zmianie mundurów uzyskał chóralną odpowiedź: nieee! Pozostaliśmy przy „starych" mundurach. Dodatkowo ratowała nas przynależność do Hufca Kraków i fakt, że nasza drużyna (3 Krakowska Drużyna harcerzy – potem Szczep „Zielona Trójka") szczyciła się tradycjami od 1911 roku. A poza tym mieliśmy raczej odchylenie ideologiczne w inną stronę – „na prawo".

14 lipca. Dzisiaj mieliśmy bardzo wcześnie rano wstać, ale wstaliśmy czterdzieści pięć minut przed wyjazdem. Dlatego też w dość dużym pośpiechu musiałem się zebrać, coś zjeść i pojechaliśmy. Samochód był starą dryndą i mało nie rozleciał się. Po przyjeździe do sztabu skierowano mnie i resztę grupy na miejsce zlotu, do dyspozycji podpułkownika Atkowskiego. W tej chwili siedzę przy telefonie MO (*Milicji Obywatelskiej – tak w tamtych czasach nazywała się obecna Policja* – przyp. autora). Czas płynie powoli. Opalam sobie nogi. O jedenastej rozpoczął się zlot na specjalnie do tego przygotowanym placu. Koło mnie przeszła grupa harcerskich szych – prawdopodobnie z naczelnikiem (...). Ja tylko jedynie mogę słyszeć, co się dzieje, dzięki głośnikom z dość dużymi wzmacniaczami. Poza tym przyjechała dyskoteka harcerska, z którą już o mało nie było kłopotu, bo harcerze zebrali się na tańce w tak dużej ilości, że o mało nie roznieśli podium i musieli przenieść się na trawę. Pogoda była fantastyczna. Około południa zjechały się inne szychy jak Minister Oświaty Kuberski i inni. Ten, którego wymieniłem, miał okazję przemawiać do zebranej młodzieży harcerskiej. Poza tym po raz drugi pojawił się milicjant, przy którego siedzę telefonie. Ma trzy gwiazdki. Było z nim jeszcze dwóch. Każdy miał po dwie gwiazdki (*chodzi o stopnie służbowe – pierwszy to kapitan, a pozostali to porucznicy* – przyp. autora). Byli ze służby ruchu (...). W trzy godziny manifestacja zakończyła się. W międzyczasie pułkownik zdążył mnie zrugać, ponieważ prosiłem go o płachtę dla spadochroniarzy(...). Czas nadal upływa w wysokiej temperaturze, przy dźwiękach dyskoteki. Miałem okazję coś przegryźć. Przyniósł mi Marchewek (*drużynowy Janusz Marchewek* – przyp. autora). Około trzeciej zmienił mnie Janusz. Poszedłem na obiad (...). Obiad był beznadziejny (...). W drodze powrotnej z „obiadu" (...). Potem znowu objąłem służbę – nadal przy telefonie MO. W tym czasie przygrywał zespół jazzowy, potem zespół harcerski z Warszawy (*ten zespół harcerski to zapewne „Gawęda"* – przyp. autora) stara się nauczyć wszystkich piosenki o Bieszczadach. Wracając do spadochroniarzy, to nie wylądowali oni w końcu (głupia organizacja). Przed dwupłatowcem było trzech zwiadowców. W chwili, gdy to piszę, został zwinięty telefon milicji i siedzę teraz w namiocie sztabu popijając oranżadę. Potem miałem okazję porozmawiać z jednym z żołnierzy, który był z Przemyśla. Około siódmej pojechaliśmy do sztabu na kolację. Była fantastyczna. Po kolacji zwinęliśmy na terenie zlotu jeszcze sześć „enesów" i wróciliśmy do obozu. Ponieważ już dłuższy czas byliśmy na nogach, więc nie odmówiliśmy sobie i poszliśmy – po rozładowaniu „enesów" – na kominek gdzie śpiewaliśmy do jedenastej (....). Niebo było piękne. Poszliśmy spać. W nocy nas przewiało.



Komentarz. Zlot odbył się 14 lipca. Czy był to termin powiązany z rocznicą bitwy pod Grunwaldem? Tego dzisiaj nie wiem. Jak z zapisek wynika – nie wszyscy brali bezpośrednio udział w zlocie. Trzeba było również zabezpieczyć zaplecze akcji. Nie wiem po co był dyżurny telefon dla milicji? Może zabezpieczali dojazd uczestników na teren zlotu?

Pamiętam jeszcze jedno ciekawe zdarzenie. Jednak ze względu na wymowę nie znalazło się w przedmiotowych wspomnieniach. W jednym z namiotów obsługi stał dalekopis (to taki ówczesny „pisany" telefon). Obsługiwał go szeregowy żołnierz, który był zobligowany do pisania tekstu bez rozumienia treści. Z jego miny widać było, że jest to możliwe. Może metoda słuszna ze względu na konieczność zachowania tajemnicy wojskowej (jakie tajemnice można mieć na operacji harcerskiej?). Ale dla mnie było sygnałem dziwnych praktyk wojskowych. Dzisiaj wydaje się to nawet w pewnym sensie śmieszne. Dla ewentualnych szpiegów sposób pisania tekstu w dalekopisie nie miał żadnego znaczenia. Ich zwykle interesowały pozyskane informacje, a nie sposób ich przygotowania.

15 lipiec. Dzisiaj od rana było pochmurnie, ale deszcz nie padał ani razu. Po śniadaniu odsypiałem wczorajsze ognisko. Jednak zostałem obudzony i skierowany przez oboźną do lasu, po korę. Nie przyniosłem jej jednak z braku powalonych drzew (były takie drzewa, ale kora była z kornikami i była krucha). W drodze powrotnej z eskapady do lasu (...). Byłem w sklepie i kupiłem cukierki. Obiad był fantastyczny. Na pierwsze rosół, a na drugie kura. Po obiedzie, o godzinie czwartej, poszedłem z resztą Świstaków na mecz pomiędzy naszym obozem a sztabem. Zostaliśmy straszliwie rozgromieni. Przegraliśmy dziewięć do zera. Jedyną zaletą tego meczu było to, że mogłem napi-

sać list do rodziców, który potem wrzuciłem (*do skrzynki pocztowej* – przyp. autora) w Ustrzykach, jako że tam odbywał się mecz na boisku ligowym (...). Wróciliśmy do Równi skrótem. W Równi zjawiliśmy się z dwugodzinnym opóźnieniem, za co dostaliśmy burę od oboźnej (na szczęście spóźniliśmy się na apel). Tuż przed apelem zatrzymał nasza czwórkę (...) reporter z rozgłośni harcerskiej, który chciał usłyszeć od nas kilka kawałów z powszechnego, obozowego życia. Miedzy innymi ja opowiedziałem kawał o ziarnku grochu, który nie wiem jak wypadł, ale sądzę, że nie najlepiej. Po powrocie do obozu i odmeldowaniu się u oboźnej poszliśmy na ognisko, na którym oprócz naszego obozu była grupa muzyków z Ustianowej oraz wyżej wspomniany reporter. Śpiewaliśmy piosenki po zapaleniu ogniska, potem oni. Wyszło na to, że przybyła grupa ładnie śpiewała, ale nie nadawała się na harcerskie ognisko, tylko do sali koncertowej. Po wyjeździe grupy z Ustianowej zrobiliśmy jeszcze sobie małe, obozowe, autentyczne obozowisko – z piosenkami jak trzeba.

Komentarz. Spóźnienie na apel wieczorny nie wynikało ze złej woli, ale ze spotkania z reporterem Rozgłośni Harcerskiej. Dodajmy, że w tamtych czasach nie działała tylko dla potrzeb Operacji Harcerskiej „Bieszczady 40", ale także na ogólnopolskiej antenie. U nas nie było w obozie radia (ani telewizora). Zatem i tak nie znaliśmy nagrań z naszymi wypowiedziami.

Przypadkiem pamiętam jeszcze kawał „o ziarnku grochu". Był to kawał z serii o wariatach – wówczas bardzo modnych. Oto on: Wariat przyszedł do lekarza, aby go wyleczył. Bał się, że jest ziarnkiem grochu i że może być zjedzony przez kurę. Lekarz podjął się kuracji. Po jakimś czasie lekarz postanowił sprawdzić czy wariat jest już wyleczony. Wariat poszedł ulicą, a kilka kroków za nim lekarz. Nagle wariat zobaczył kurę i zaczął szybko uciekać. Kiedy lekarz go dogonił, to zdyszany zapytał: – Dlaczego Pan się boi kury. Przecież Pan wie, że nie jest ziarnkiem grochu? Wariat mu odpowiedział: – Ja wiem, ale czy kura wie?

16 lipiec. Dzisiaj między godziną pierwszą a czwartą rano pełniłem wartę na wartowni. O trzeciej już było jasno. Mniej więcej połowę warty przespałem, co nie jest chwalebne, ale zarazem nie było nic innego do roboty, gdyż są to godziny głębokiego snu. Poza tym z ciekawostek to mogę dodać, że dzień zaczął się parnie, a mnie zmarzły nogi szczególnie palce u stóp. O siódmej wstałem w bardzo złym humorze, co też odbiło się później na postępowaniu. Po obraniu ziemniaków pokłóciłem się z Bitumem (...). Poza tym musiałem biegać, aby odzyskać swoja kurtkę oraz wychlorować latrynę za trampki (nigdy ich więcej nie pożyczę nikomu). Teraz leżę i opalam się. Na obiad była ryba. Poza tym chciałem dodać, że od dwóch dni na podwórku przed przedszkolem rozłożyła się drukarnia i radiostacja. Prawie trzy czwarte podwórka zajmuje antena, z niepotrzebnymi ostrzeżeniami o wysokim napięciu. Po obiedzie czekała grupę, która spóźniła się o dwie godziny, praca karna. Polegała ona na przeniesieniu kuchni polowej z jednego miejsca na drugie, właściwe (...). Potem miałem okazję umyć się pod prysznicem zlokalizowanym za obozem. Umyłem się cały, tylko nie zdążyłem umyć włosów i musiałem je potem płukać w rzece (...). Po kolacji nie było apelu, ale była dyskoteka rozgłośni harcerskiej, na której wszyscy dobrze się bawili składając sobie nawzajem życzenia oraz wybierając najlepszą dziewczynę siedzącą na kolumnie (...).

Komentarz. Wspomniana wartownia była na terenie naszego obozu harcerskiego w Równi. Wartę pełniono przy furtce prowadzącej z terenu przedszkola do naszego obozu.

Na terenie przedszkola zlokalizowała się drukarnia i radiostacja. Ta pierwsza miała zapewne za zadanie drukować wspomniane już czasopismo „Na przełaj przez Bieszczady". Ta druga zapewniała łączność ze wszystkimi stanicami drogą radiową. Zapewne przecinanie drutów telegraficznych (o którym wspominałem już wcześniej) miało miejsce częściej i zdecydowano się na zmianę systemu łączności. Przy okazji zapewne wojsko testowało sprzęt w warunkach polowych, czyli podczas operacji harcerskiej.

Sprawa kurtki i trampek wiąże się z następującym zwyczajem. Czasami na terenie obozu niektórzy pozostawiali rzeczy w najdziwniejszych miejscach, niekoniecznie do tego celu przeznaczonych. Ktoś z komendy od czasu do czasu je zbierał. Potem można je było odzyskać pod warunkiem wykonania dodatkowych zadań zleconych przez komendanturę. W tym wypadku problem polegał tylko na tym, że rzeczy te wypożyczono innemu harcerzowi. On jednak nie odłożył ich na miejsce. A karę poniósł właściwy właściciel.

(tekst i muzyka: autor mi nieznany)

We Francji, w Paryżu raz wielki bal był,
A bal urządzono na kilkanaście par.
Tam majster ślusarski poczciwy był
Człek, co zawsze i wszędzie córek swoich strzegł.

Najstarsza z tych córek na bal wybiera się,
A ojciec jej mówi: – nie pójdziesz, nie pójdziesz, nie pójdziesz nie
Chyba, że włożysz majteczki blaszane,
Z przodu i z tyłu zalutowane.

I poszła, i poszła, i poszła, i poszła tam,
W kierunku książęcych pałacu wielkich bram.
A majster zmartwiony pozostał sam,
Bo nie wie co jego córeczka robi tam.

I poszedł, i poszedł, i poszedł, poszedł tam,
By sprawdzić, co jego córeczka robi tam.
I pyta kelnera zafrasowany,
Gdzie jest to dziewczę w majteczkach blaszanych.

A kelner na to odpowie mu:
Za późno, za późno przyszedłeś tu,
Już mały ślusarczyk rano tutaj był
I kluczem od konserw majteczki otworzył.

I w ten to sposób zrodził się synek,
Co trzymał w rękach klucz od sardynek.

17 lipiec. Zapomniałem dodać, że wczoraj mieliśmy okazję zapoznać się z grą w „ringo" oraz z jej przepisami. Natomiast dzisiejszy dzień zaczął się słonecznie, lecz po apelu zachmurzyło się, choć deszcz nie padał. Nasz zastęp wybierał się na basen, co zakończyło się niepowodzeniem, jako że jednak spadł deszcz, przez co zajęcia przedpołudniowe zostały rozbite (...). Po południu znowu świeciło słońce, a Świstaki w dalszym ciągu obijały się. Po obiedzie i przebraniu się poszedłem z grupą na basen, z tym, że w końcu na basen dojechałem karetką. Nie, nie, nic mi się nie stało, tylko mnie podwioza. Po kąpieli w basenie bogatym w faunę i florę (woda była niestety za zimna), wróciłem do sztabu, gdzie o szóstej miałem z resztą warty przejąć służbę. Jednak warta dla poprzedników przedłużyła się, jako, że trzech ludzi (wszyscy z naszego zastępu) grali po stronie sztabu mecz piłkarski przeciwko drużynie trzecioligowej z Ustrzyk. „Ustrzyki" sromotnie przegrały siedem do jednego. Na warcie stałem w godzinach dziesiąta - dwunasta. Przed dziesiątą miałem okazję obejrzeć film szpiegowski produkcji radzieckiej. Nawet był dobry.

Komentarz. W wakacje tego roku rozpoczęło się lansowania gry w bingo. To było takie gumowe kółeczko o średnicy około 15 cm. Zadanie polegało na rzucaniu między minimum dwoma osobami i łapaniu w locie. Można było również przerzucać je przez siatkę. Gra głównie rozpowszechniła się na Funduszach Wczasów Pracowniczych (tak zwanych FWP). Po stanie wojennym praktycznie zginęła śmiercią naturalną.

Nie pamiętam, co to był za szpiegowski film. Młodszemu pokoleniu przypomnę, że wtedy oglądanie amerykańskich czy angielskich filmów szpiegowskich (jak historie o James'ie Bondzie) było surowo zakazane. Zresztą wszechobecna cenzura nie dopuszczała nawet myślenia o ich istnieniu.

18 lipiec. Dzisiaj stałem na warcie między ósmą a dziesiątą. Ciekawych wydarzeń nie miałem. Tylko jeszcze wczoraj zanudzała mnie przez godzinę dziewczynka, która przyjechała z Leska. Truła mi o świetliku. Dzisiaj przed służbą także miałem zajęcia. Musiałem z „RUCHU" przywieźć prasę dla wszystkich stanic, z Ryśkiem, na rowerach. Musieliśmy dwa razy obrócić. Poza tym przerwano mi oglądanie filmu o Al. Capone. Musiałem wynieść na drugie piętro szafę (...). Cóż, kiedy film już się skończył i nie wiem jak (...). Upał jest piekielny. Piję jak smok. Sok zresztą. Potem poszedłem spać. Obudziłem się o czwartej i poszedłem na służbę wartowniczą. Gdzie stałem do wpół do siódmej. Była to moja ostatnia służba wartownicza w sztabie. Nasza zmiana przyszła spóźniona i to w niepełnym składzie, a to dlatego, ponieważ reszta pojechała na wycieczkę autokarową po obwodnicy. Świstaki po skończonej służbie poszły spać do zastępu Kremenaros, gdzie ja spałem do ósmej piętnaście. Ukazał się drugi numer *„Na przełaj przez Bieszczady"*. Po ósmej poszedłem na telewizję, obejrzeć Al. Capona. Niestety okazało się, że będzie on dopiero o dziesiątej, więc musiałem zrezygnować. Ale w zamian obejrzałem sobie program rozrywkowy *„Na życzenie"*. Podczas programu wnieśli jedną osobę chorą z naszego obozu (podczas naszej nieobecności w obozie odbywał się zielony dzień i przede wszystkim „Mielec" przechodził chrzest). O dziesiątej wróciłem do obozu (...).

Komentarz. Tej dziewczynki raczej nie pamiętam. Wiem, że była to córka jednego z podpułkowników. Przyjechała z ojcem na operacje harcerską jako „wolny strzelec". Łatwo się domyślić, że nudziła się okropnie.

Wojskowych różnej „maści" było w sztabie sporo. I jak w każdej grupie bywali różni. Jedni „normalni", drudzy… Pamiętam, że kiedyś, na jednej z wart, rozmawiał ze mną „cywil" używający

języka w stylu lat pięćdziesiątych XX wieku, czyli z okresu najgorszego stalinizmu. Już po pierwszych kilku jego zdaniach zapaliło mi się w głowie „czerwone światełko”. Grzecznie słuchałem, ale nie wchodziłem z nim w żadne polemiki. Miałem już wystarczającą świadomość, że mogłoby to być dla mnie niebezpieczne. Nawet nie wspomniałem o tym w zapiskach na wypadek, gdyby dostały się w niepowołane ręce. Z perspektywy lat daje to ciekawy asumpt do zastanowienia się. Czy był to pracownik służb specjalnych typu Służba Bezpieczeństwa? Czy może był to wojskowy z Wojskowych Służb Informacyjnych po ostrym „praniu mózgu”? Pamiętajmy, że operacja harcerska „Bieszczady 40” odbywała się na terenach intensywnych walk pod koniec lat czterdziestych XX wieku. Po stronie polskiej udział brał wojskowy Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, którego część działań nie była do końca zgodna z prawem. O czym nawet dzisiaj, po latach nie mówi się głośno.

19 lipiec. Dzisiaj dzień zaczął się dość wesoło. Po apelu wszyscy poszliśmy z powrotem spać (...). Po śniadaniu był apel. Do obiadu, i po obiedzie, przygotowywałem kronikę i prawdopodobnie zaliczę sprawność redaktora i kronikarza. O godzinie czwartej rozpoczął się bieg, a o szóstej start na trzy pióra. To drugie próbują zaliczyć z naszego zastępu dwie osoby (...). Na razie nie dały się skusić. Poza tym reszta (...) biegnie na stopnie (...), na przodownika (...), na pioniera (...), reszta na wędrownika (...). Mój patrol jest dopiero dziesiąty i biegłem od wpół do ósmej. Cóż, kiedy zacząłem właściwy bieg dopiero o dziewiątej, a skończyłem o jedenastej. Mam zaliczone dopiero trzy punkty. Znowu późno położyłem się spać.

Komentarz. Jednym z głównych celów pod koniec każdego obozu był bieg na stopień. Należało wykonać bieg terenowy po określonej trasie, a w jego trakcie zdawać egzaminy z różnych przedmiotów związanych z harcerstwem. Zaliczenie tego biegu dawało możliwość zdobycia wyższego stopnia. Jako drużyna starszoharcerska mieliśmy do zdobycia trzy stopnie podstawowe: wędrownika – jedna gwiazdka, przodownika – dwie gwiazdki i pioniera – trzy gwiazdki. A jeżeli ktoś był ambitny, to mógł zdobywać jeszcze stopnie instruktorskie. Te jednak zdobywało się na specjalnych zajęciach w komendzie hufca lub chorągwi. Na mundurze pojawiały się w formie podkładek pod krzyżem harcerskim, na lewej piersi. Od białej poprzez zieloną, granatową, czerwoną po biało-czerwoną. Oczywiście musiał być ideologicznie poprawny, „zgodny z linią jedynej, słusznej partii” (chodzi oczywiście o PZPR).

Z dalszych zapisek wynika, że bieg na stopień na tym obozie nie odbył się zgodnie z zasadami. Przeszkodą był przede wszystkim deszcz. Zatem bardzo często zaliczenie poszczególnych egzaminów odbywało się w namiotach komendantury.

Należy również wspomnieć o zdobywaniu sprawności „orle pióro”. Była to zwykle najtrudniejsza sprawność do zdobycia. Komendantura wyznaczała do jej zdobycia tylko najlepszych. Zdobywanie sprawności trwało trzy dni. Pierwszego dnia nie wolno było nic jeść. Przez dwadzieścia cztery godziny. I wbrew pozorom była to najprostsza część testu. Drugiego dnia obowiązywał całodobowy zakaz mówienia. To wbrew pozorom było trudniejsze, bo niebiorący udział starali się zmusić uczestników do powiedzenia choćby jednego słowa. A poza tym spróbujcie na obozie nic nie mówić biorąc cały czas udział w różnych zajęciach? Trzeci dzień to tak zwana „chatka Robinsona”. Należało wyjść z obozu na kolejną dobę i tak się schować, aby nikt zainteresowanego nie znalazł. Dostawał „na drogę” tylko trzy zapałki i coś do zjedzenia (w małych ilościach). Zatem ta część objęta zarówno niemówienie, niejedzenie i do tego totalne odosobnienie. Oczywiście dla bezpieczeństwa jedna z osób z komendantury (zwykle oboźna) wiedziała gdzie należy – mniej więcej – każdej osoby szukać na wypadek „niepowrócenia w terminie”. Dodajmy dla potomnych, że większych wypadków nie stwierdzono ani na tym, ani na następnych obozach. Zwykle tę sprawność kończyła jedna lub co najwyżej tylko kilka osób. Ale za to miała duże powodzenie u płci przeciwnej. Wszak to sprawność dla twardzieli.

20 lipca. Dzisiaj wstałem bardzo niewyspany. Jak zresztą większość Świstaków. Po śniadaniu rozpoczął się dalszy ciąg biegu. Wszyscy uczą się zawzięcie. Przed południem zaliczyłem, lub nie, pionierkę, terenoznawstwo i inne. Poza tym do obiadu nie było co robić, jako że wyszliśmy na trasę dopiero o drugiej. Po obiedzie nastąpiło zaliczanie samarytanki i OSO (*Odznaka Sprawności Obronnej* – przyp. autora). Z tego ostatniego wypadłem bardzo tragicznie (...). Nie zaliczyłem znowu historii i mam zaliczyć jutro. Poza tym odwiedził nas hm Józef Kusiba (*lub Kosiba* – przyp. autora), który nam opowiadał o silnie rozwiniętym przed drugą wojną światową lotnictwie szybowcowym w Bezmiechowej (*nazwa niepewna* – przyp. autora) i Ustianowej (największe ośrodki lotnictwa przed wojną). Poza tym opowiedział on nam wiele przygód, a także zachęcał nas do pomocy w budowie lotniska szybowcowego pod Ustianową. Spotkanie odbyło się pod spadochronem. Po kolacji przyjechała komisja rewizyjna i na całą komendę padł blady strach. Wszyscy chodzą jak zegarki. Znowu nie zaliczyłem historii.

Komentarz. Trwa zaliczanie poszczególnych etapów na kolejny stopień harcerski. To były takie czasy, że – poza zwykłymi elementami niezbędnymi każdemu harcerzowi do poruszania się w terenie czy z wiedzy ogólnej – trzeba było wykazać się umiejętnościami z zakresu obronności przed „atakiem imperialistów”.

W ramach zajęć nadprogramowych miewaliśmy również spotkania z ciekawymi ludźmi. Tę rozmowę prowadził przedwojenny lotnik szybowcowy. Zapewne pojawiła się koncepcja odbudowy lotnisk szybowcowych. Nasze lotnictwo potrzebowało lotników, a piloci szybowcowi to bardzo dobry „narybek”. Przeglądając niedawno mapę Bieszczad znalazłem nawet informację o miejscu, gdzie to lotnisko było kiedyś zlokalizowane. A także o miejscu wybudowania nowego, powojennego lotniska. Czyli pogadanki tego człowieka nie poszły na marne.

21 lipiec. Dzisiaj od rana pada deszcz. Połowa Świstaków odmówiła wstania. Reszta ze mną bardzo wściekła poszła na apel w krótkich spodenkach. Wszyscy oczywiście zmarzli. Po śniadaniu zaczęliśmy zaliczać sygnalizację. Cóż z tego, kiedy okazało się, że mamy pójść do obozu (...). Deszcz siąpi nadal. Poszliśmy. Szło się nam opornie. Musieliśmy wrócić po Ryśka, a ja musiałem przebrać skarpetki. Kiedy w końcu doszliśmy do obozu „lubelskiego” nasz szczep już wracał. Trzeba przyznać, że ich obóz jest marny. Poza błotem, o którym nie wspomnę, a na którym świetnie się jeździło, obóz ten posiadał oświetlenie i telewizor. Poza tym była tam restauracja „dla jeleni”, gdzie piliśmy herbatę (ciepła, ale niesmaczna). Po wyjechaniu z obozu na nogach (...) poszliśmy do Muzeum Przyrodniczego, które mieści się w Bibliotece Publicznej, w Rynku, w Ustrzykach Dolnych. Spóźniliśmy się piętnaście minut. Mimo to nasi jeszcze byli i poszliśmy z nimi. Przybyliśmy do obozu w kolumnie trójkowej. Po przyjściu znowu zaczął padać deszcz. Zaraz idę na obiad. Janusz gra na gitarze. Ma na głowie moje dzieło – czepek Hipokratesa. Wczoraj w szkole była dyskoteka dla lubelskiego i jeszcze jednego. Nasi też mogli, po zaliczeniu biegu. Poza tym bieg na trzy pióra ciągnie się dalej. W tej chwili, do czwartej, jest próba ciszy. Rysiek odpadł, ponieważ powiedział podczas gry na gitarze, że to jest jedyna piosenka, którą umie zagrać. Wiele innych osób także odpadło. Pozostało sześć osób, które wyruszyły na trasę. Każdy dostał po trzy zapałki, dwa ogórki i dwa pomidory (...). Deszcz pada coraz bardziej. Po obiedzie odbyła się musztra, na której wszystkim szło nienajlepiej. W końcu jednak zaliczyli. Na deser były ciasteczka (...). Grałem w brydża. Szło mi nawet dość dobrze. Potem była kolacja (...). Deszcz cały czas pada. Biedni ci, którzy wyszli zdobyć trzeci punkt trzech piór – chatkę Robinsona. Wieczorem był także kominek. Na kominku śpiewaliśmy piosenki jak zwykle oraz opowiadaliśmy kawały (...). Na kominku miała być także wizytacja państwa Cichockich z dzieckiem, ale niestety nie doszli (...).

Następuje taniec zbierany, to znaczy wszyscy razem czegoś szukają. Aktorzy usiłują wciągnąć publiczność na scenę, Milicja usiłuje ściągnąć rozbawionych artystów ze sceny. Publiczność przezornie opuściła teatr po pierwszej obrazie. Autora poszukują organy. Organista poszukuje klucza od instrumentu. Instrument w oliwie. OLIWA ZAWSZE NA WIERZCH WYPŁYWA.

(słowa i muzyka: autor mi nieznany)

– Będzie lało, mówię wam,
– Będzie lało, głowę dam.
–Taka chmura bura to coś jest.
– Będzie lało – CO? – Deszcz.

– Lubię, gdy leje w domu być.
– Pod ciepłym kocem – KOTEM? – nogi skryć.
– Zapalić fajkę – TO TY PALISZ? –
– Dziadkowi który był w Uppsali.

– A DZIADEK CO?
– Krzyż mu wygina.
– REUMATYZM? –
– Nie, stara sprężyna.

– JIMMY OPOWIEDZ JESZCZE COŚ!
– Będzie lało – JUŻ MÓWIŁEŚ –
– Będzie lało – CZY DZIŚ PIŁEŚ?
– Już zaczyna lekko kapać,
– Nadstaw dłoń to zdążysz złapać.

– BRAWO JIMMY, POPATRZ JEST!
– Co tam macie? – DESZCZ.

Komentarz. Zacznijmy od końca, od piosenki. Była ona na

początku dość często śpiewana. Jednak pod koniec obozu został na nią nałożony nieformalny zakaz. Dlaczego? Bo po odśpiewaniu choćby połowy tekstu zaczynał padać deszcz. Uznano, że działa ona podobnie jak „indiański taniec deszczu”.

Jak widać z zapisek obozy-stanice były różnie przygotowywane. Tu wspomniano o obozie „lubelskim” (czyli złożonym z harcerzy z dawnego województwa lubelskiego – to jeszcze były czasy istnienia 49 województw), gdzie harcerze mieli dostęp do rzeczy, których na obozie być nie powinno, jak telewizor czy radio czy inne „udogodnienia”. Dla usprawiedliwienia należy dodać, że stanice były nieraz specyficzne. Przykładowo w jednej mieszkali sami muzycy – ze szkół podstawowych i średnich muzycznych. Uznano ich za ludzi „o delikatnych rękach”. Zatem wszelkie prace harcerskie musiał „ktoś” wykonać za nich. Stąd – między innymi – nasz obóz stawiał im namioty – wspomniane tu już „enesy” (nazwa pochodzi od wojskowego skrótu „NS”, oznaczającego bodajże „namiot składany”).

22 lipiec. Dzisiaj rano obudziłem się w powiewach wiatru i deszczu. Po prostu, na tym płaskowyżu, gdzie stoi nasz obóz, wieje jakiś wiatr z nawietrznej. Jest to wiatr bardzo silny, o czym mogłem się już drugi raz przekonać. Namiot chodził cały, jak poduszkowiec, a deszcz padał dalej. Tuż przed śniadaniem zjawił się Paweł od „chatki Puchatka”. Okazało się, że widziała go jakaś babka (...). O ósmej śniadanie. Na śniadanie wyszedłem za wcześnie, jak i reszta Świstaków. Zrugał nas za to Zbyszek. Jedliśmy w towarzystwie „szanownej komisji”. Po śniadaniu mieliśmy nosić wodę. (...). Potem położyłem się spać, a oni słuchali jak grał Janusz. Deszcz lał dalej. Kałuże na majdanie robiły się coraz większe. Błotko przyrastało na coraz większą grubość. Wszyscy siedzą w namiotach. Nikt nie wychodzi. Towarzystwo zaczyna się powoli nudzić. Około godziny czwartej pani profesor zawołała mnie i Ryśka na brydża. Poza tym był Bitum. Graliśmy w stołówce. Brydż został nam tylko raz przerwany.

Przyszedł do nas Kaziu i prosił nas, abyśmy postawili magazyny, bo znowu ma przyjechać wizytacja. Mieliśmy to zadanie wykonać razem ze Wężykami. Cóż, nie chciało im się nic robić przy naszym współudziale i na ich życzenie spuściliśmy im namiot. Rezultaty były dla nich tragiczne. Jeden maszt złamany, aparat polowy pęknięty, nie mówiąc o mokrych rzeczach, jako że w chwili po spadnięciu namiotu spadł ulewny deszcz. Magazyny są to namioty zbudowane przez kretynów, jako że po jednym deszczu już rozleciały się. Zrobiliśmy prowizoryczną pracę i w sumie jakoś wyglądały te namioty. Po skończonej pracy poszliśmy dalej grać w brydża (...). Graliśmy do końca kolacji (...). Po kolacji był kominek pokazowy. Oprócz naszej braci harcerskiej była komendant operacji – druhna Bojarska oraz kapitan Ludowego Wojska Głąbik oraz Rozgłośnia Harcerska, która nagrywała całą audycję. Na kominku najpierw popisał się teatrzyk naszego szczepu, który z okazji dwudziestego drugiego lipca, przedstawił program okolicznościowy. Bojarskiej bardzo to się podobało i wyszła. Po części oficjalnej wszyscy już śpiewali i rozpoczął się właściwy kominek (...). Po kominku zawiązaliśmy krąg dookoła watry złożonej z gałęzi i dwóch latarek. Po odśpiewaniu piosenki na zakończenie poszliśmy spać.

(słowa: autor nieznany, muzyka bodajże ludowa, jeszcze radziecka)

Dolinami i wzgórzami
Niosła się bojowa pieśń,
Szły oddziały maoistów,
aby myśli Mao nieść.

Dał nam przykład wielki Mao
Przepływając Jangcy-ciang,
Jak hartować ludzie ciało
Oszczędzając cenny tran.

Temu zboże wyżej rośnie,
Krowa więcej mleka da,
Kto studiuje myśli Mao,
Kto je zawsze w sercu ma.

Rewolucja kulturalna
Przeobrazi cały świat.
Niech nam żyje wielki Mao,
Piękny jak lotosu kwiat.

Kiedy każdy z żółtych braci
Dłoń przemocą poda nam,
My musimy być gotowi,
Gdy u naszych staną bram.

Nie pomogą już kompanie
Mao lekceważy je,
Pekin nie da się zastraszyć,
Niechaj każdy o tym wie.

Jak mówiła święta Saba
– Chiny zawojują świat,
Mao będzie panem świata.
Polak będzie jego brat.

Miast studiować na UJ-ocie
Tracąc dobrych parę lat,
Weź do ręki dzieła Mao,
Zawojujesz cały świat.

I ostaną się w legendzie
Jego dzieło, jego blask.
Polska znów mocarstwem będzie
I połączy morza dwa.

Komentarz. Pogoda deszczowa coraz bardzie zaczyna wypierać normalne zajęcia harcerskie. A to prowadzi czasami do najdziwniejszych zachowań, jak chociażby „akcja” z namiotem sąsiednim. Dodajmy – męskiego zastępu.

Wieczorne ognisko odbyło się w dniu ówczesnego święta 22 lipca. Było to Święto Odrodzenia Polski Ludowej (na cześć powstania Polski Ludowej w 1944 roku). Dzisiaj już go nie ma. W zamian jest święto 11 listopada, nawiązujące do odzyskania niepodległości przez Rzeczpospolitą Polskę w 1918 roku. Łatwo się z opisu zorientować, że wieczorem były praktycznie dwa ogniska. Jedno oficjalne, z władzami harcerskimi, wojskowymi, przy udziale Rozgłośni Harcerskiej. I drugie, nieoficjalne – gdzie mogliśmy śpiewać chociażby takie piosenki jak zapisana powyżej. Dla niewtajemniczonych przypomnijmy. Mao czyli Mao Tse Tung był chińskim przywódcą w latach pięćdziesiątych XX wieku. W oficjalnej propagandzie został uznany za jednego z największych przywódców chińskich, a na zachodzie zaistniał w pop kulturze dzięki portretom stworzonym prze Andy Warhola. W nieoficjalnych informacjach było wiadomo, że podejmowane przez niego akcje o mało nie doprowadziły do upadku Chin Ludowych. I zagłodzenia ludzi na śmierć.

23 lipca. Dzisiaj rano wstałem, jak i reszta, ze świadomością, że mamy rozebrany namiot. Nie pomyliliśmy się. To było dzieło Wężyków. Jednak nie, to było dzieło Bielańskiego (...). Potem poszliśmy na śniadanie, na którym utworzyliśmy nowy odłam harcerstwa – „Krwawe Harcerstwo” (...). Jest to organizacja „komunistyczna”, z kastowym podziałem ludzi. Nasz zastęp to „ekscelencje”, a reszta to pospólstwo. W tej chwili, po śniadaniu, oddajemy się kontemplacji. Siedzimy na siedmiu krzesłach, z nogami wspartymi na stole (...). W tej chwili świeci słońce, ale błota jest nadal dość. Kontemplacja trwa. Później przynieśliśmy sobie na majdan kanadyjki, lecz po chwili Zbyszek nas przegonił za namiot. Tam opalałem się aż do zniknięcia słońca. Po chwili też spadł deszcz. Na obiad był schabowy. Po obiedzie cały czas lało, więc (...) poszliśmy grać w brydża. (...). Pod koniec pierwszego robra (...) Rysiek i Janusz się założyli, że ten, kto przegra robra biegnie do sztabu, do Ustrzyk i z powrotem (....). Wieczorem był w stołówce kominek, który prawie w całości przespałem na dwóch krzesłach, ponieważ był bardzo nudny. W końcu nie wytrzymałem i poszedłem spać do namiotu. Nie dane mi było zasnąć. Po chwili odtrąbiono alarm i wszyscy poszli na przyrzeczenie, bo taki był cel alarmu. Poza tym po chwili od ogłoszenia wyszedł ze swoich namiotów Mielec i śpiewając w kółko to samo przez pół godziny nie dał mi spać. W czasie kominka wrócił Rysiek (to był wynik zakładu) całkiem mokry. Ja i Rysiek „olaliśmy alarm i poszliśmy spać.

Komentarz. „Krwawe Harcerstwo” było oczywiście żartem.

(słowa i muzyka: autor mi nieznany)

Raz Noe świętym był,
Przechadzał się przed Panem,
A gdy mu było źle,
Popijał wino dzbanem.

I za to go miłował Pan,
Chronił od wszelkiej zguby,
A gdy potopu nadszedł czas
Nie dał mu zginąć z wody.

Czterdzieści dni wciąż padał deszcz.
Pan ciągle ziemię rosił,
A Noe w beczce spał,
Spod beczki nie wychodził.

Raz Noe urżnął się
I poszedł spać na arkę.
Ale mu było źle,
Bo przebrał wina miarkę.

I przyszedł cham i zaśmiał się,
Że Noe jest urżnięty.
Za to go wyklął Pan
I odtąd jest wyklęty.

Z piosenki tej moralny sens
Wynika dla młodzieży:
Że ród pijaka świętym jest,
Miłować go należy.

Z piosenki tej moralny sens
Wynika dla narodu:
Że kto z pijaka śmieje się,
Ten jest chamskiego rodu.

Z piosenki tej moralny sens
Wynika dla harcerzy:
Że kto z pijaka śmieje się,
Ten do nas nie należy.

Z piosenki tej moralny sens
Wynika niekoniecznie:
Że w czas potopu – gdzie jak gdzie –
Lecz w knajpie najbezpieczniej.

W satyryczny sposób nawiązywało do przedwojennego „Czerwonego Harcerstwa” – organizacji całkowicie lewicowej. Wyłączonej z ówczesnych struktur harcerskich, a podporządkowane partiom lewicowym.

Alarm nocny ogłoszono z powodu przyrzeczenia. Chodzi o przyrzeczenie harcerskie składane przez najmłodszych stażem harcerzy – o ile zostali przez komendanturę do tego dopuszczeni. Składali specjalne przyrzeczenie harcerskie i zobowiązywali się przestrzegać prawa harcerskiego. To ostatnie było dziesięciopunktowe. Nie przytaczam, bo jest ono dokładnie znane. Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że istniały również punkty „nadzwyczajne”, „dodatkowe”. Oto przykładowe:

11. Harcerz kocha harcerkę i chce mieć z nią zuchy.
12. Harcerz pije i pali – i patrzy by go nie złapali.

I inne, równie bezsensowne.

24 lipiec. Dzisiaj wstałem o ósmej. Trzeba przyznać, że świeci-

ło słońce. Po przebudzeniu zauważyliśmy, że cztery osoby (...) zostały napiętnowane zieloną pieczątką. Jak się później okazało, nie tylko oni. W innych namiotach też dużo osób zostało napiętnowanych. Okazało się, że to z okazji „zielonego dnia" Uherce, a w liceum Hajduczki zrobiły nam kawał. O ósmej odbył się apel kończący nasz obóz. Na apelu przyznano wiele nagród wybijającym się harcerzom i harcerkom, oraz rozdano karty uczestnictwa. Przed apelem zebrałem podpisy wszystkich uczestników naszego obozu, z naszego liceum. Po apelu potwierdziłem zdobyte sprawności. Przyjechał akurat tata. Szybko spakowałem się. Zwinąłem łóżko, zabrałem rzeczy, pożegnałem się z kolegami i odmeldowałem się oboźnej i poszedłem do samochodu. Tam czekał na mnie wujek i Andrzej, z którymi przywitałem się. W obozie mimo słońca było błoto, więc musiałem przed wejściem do wozu umyć buty. Po zapięciu pasów i rzuceniu ostatniego spojrzenia na obóz wyruszyliśmy. Po dwóch godzinach byłem w Przemyślu. Tam też dopiero zaczął padać deszcz. Opowiadałem tam do późnego wieczora swoje przeżycia. KONIEC OBOZU.

(słowa: autor mi nieznany, melodia: piosenka zespołu The Beatles. Uwaga: zapis tekstu w formie fonetycznej, w rzeczywistości są tutaj użyte słowa w języku polskim, angielskim, rosyjskim i niemieckim.

Posłuchajcie tera moje rua, rua story,
Of maj litl oczień krasnoj gerl,
Ja dziękuję i przepraszam, jest mi oczień sory,
Za te sorok zmarnowanych jer.
Refren : O rua, siuba, o rua siuba.

Zapoznałem ją nad brzegiem modrej Wołga riwer
Chciałem kis ją w tę i tamtą sajd.
Bądź my wifer, moja darling,
Dżast ja tiebia libe.
Pasmatrieła, rzekła – Nu, al rajt.
R. O rua siuba, o rua siuba.

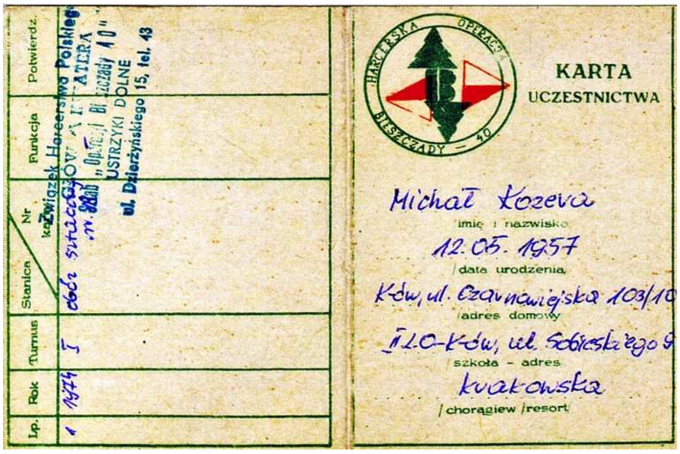
Mieszkaliśmy w małym, cichym mieście Moskwa sity,
Płynął god za godem – ain, cwaj, draj.
W naszym życiu nawet czasem były klajne zgrzyty,
Tłenty czildren, z tego żaden mój.
R. O rua siuba, o rua siuba.

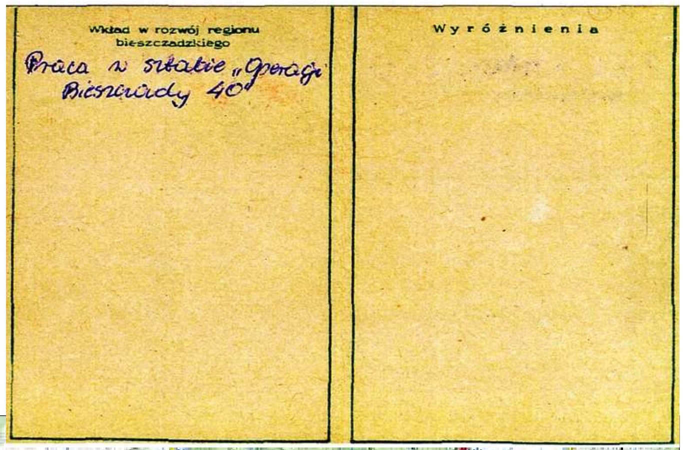
I to właśnie jest bigining of maj rua story,
Rua story prima pierwyj sort.
Ja dziękuję i przepraszam – jest mi oczień sory.
Nu, a tera dać na paczkę „Sport”.
R. O rua siuba, o rua siuba.

***Komentarz**. Ostatnia noc w każdym obozie to zwykle bywała nazywana „zieloną nocą". Dawała możliwość robienia różnych kawałów i psikusów innym zastępom. Zwyczaj ten przywędrował na obozy harcerskie z zimowisk i kolonii odbywających się dla młodzieży nie tylko harcerskiej.*

Wspomniana kartka (z podpisami wszystkich uczestników, z wyjątkiem zastępów z Mielca) zachowała się do dzisiaj i jest tutaj reprodukowana. Reprodukujemy również kartę uczestnictwa, która także szczęśliwie dotrwała do naszych czasów.

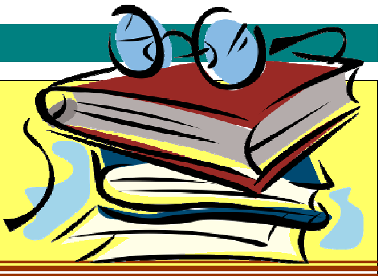
Wspomniany na końcu wujek to Stanisław Paczewski. Andrzej to jego syn. Wyjazd do Przemyśla był związany z kontynuowaniem wakacji w tym mieście. Pisałem o tym we wcześniejszych numerach „Quod Libet" w kilkuodcinkowym tekście pod tytułem: „PRZEMYSKIE WAKACJE". Zainteresowanych odsyłam do wcześniejszych numerów QL.





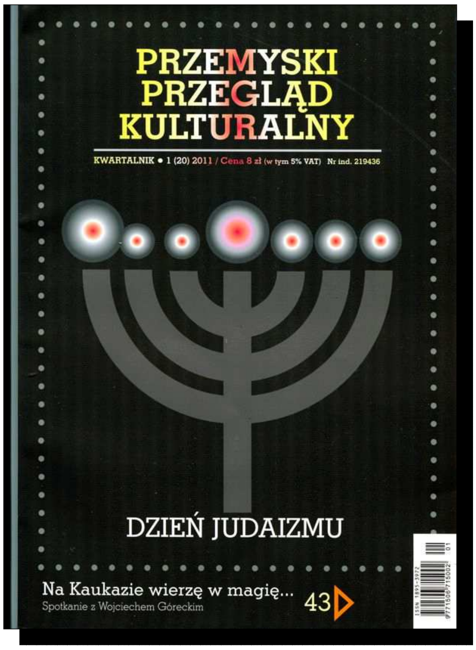


PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI



Prezentujemy dwa kolejne numery – niezmiennie bardzo interesującego kwartalnika PPK, tj. **nr 1 i 2/2011**

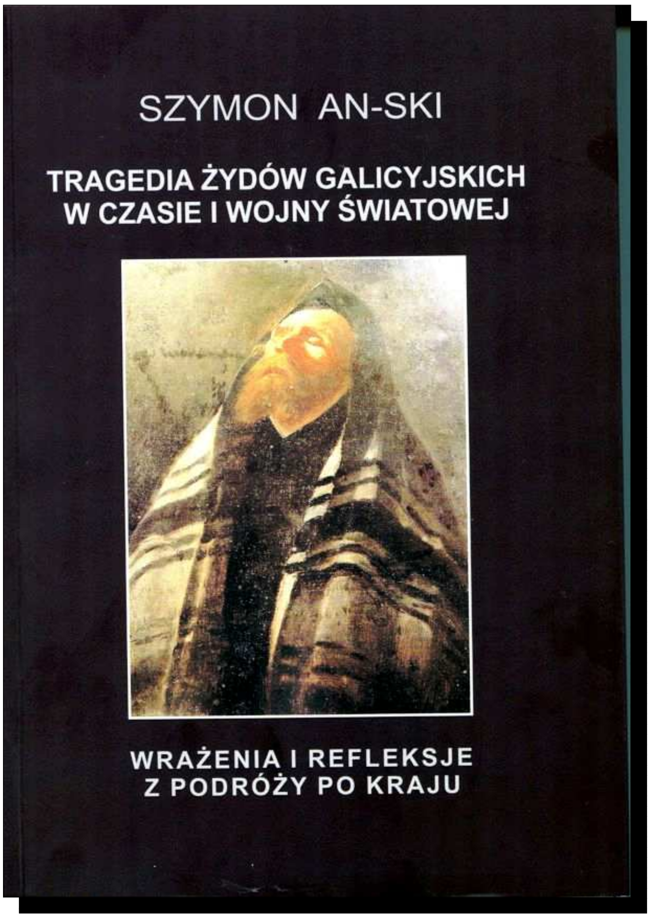
SPIS TREŚCI



SPIS TREŚCI



Wyd. Południowo-Wschodni Instytut Naukowy, Przemyśl 2010. Wstęp (*przedstawiony poniżej w całości*), przypisy i opracowanie: Krzysztof Dawid Majus i Stanisław Stępień



Szymon An-ski to pseud. literacki Solomona Zejnwiła Rappoporta (1863-1920). Urodził się i wychował w Rosji w ubogiej rodzinie chasydzkiej. W młodym wieku uległ jednak wpływom Haskali (tzw. żydowskiego Oświecenia) oraz populistycznym teoriom rosyjskich narodników. Inspirowany tymi ideałami opuścił dom i wędrował po żydowskich strefach osiedlenia, pracując dorywczo jako introligator, kowal, ślusarz i krawiec, a przez pewien czas nawet górnik w Zagłębiu Donieckim. Żył wśród rosyjskich i ukraińskich chłopów, uczył ich dzieci. Jako pisarz zadebiutował w języku rosyjskim w 1883 r., ale już w 1884 r., pod wpływem tworzącego w Warszawie Icchaka Lejba Pereca (1852-1915), jednego z współtwórców literatury jidysz, zaczął pisać w języku żydowskim.

Zagrożony aresztowaniem ze względu na działalność narodnicką w 1892 r. opuścił Rosję i przez kilkanaście lat podróżował po Zachodniej Europie. Do Rosji powrócił po rewolucji 1905 r. Zainteresował się wówczas żydowskim folklorem i podjął zakrojone na szeroką skalę badania etnograficzne Żydów, głównie na terenie wsi i miasteczek Wołynia i Podola.

Przed wybuchem I wojny światowej był już znanym pisarzem i publicystą dużo piszącym, tak w języku rosyjskim jak i w jidysz. Spod jego pióra wychodziły wiersze, opowiadania, sztuki teatralne, ale także rozprawy naukowe na temat żydowskiej obyczajowości. Najbardziej znanym jego dziełem jest wydany w 1919 r. w Wilnie dramat *Cwiszn cwej weltn. Dybuk* (wielokrotnie wystawiany na deskach teatrów i ekranizowany). Dzieło to w 1922 r. doczekało się wydania w polskim przekładzie pt. *Na pograniczu dwóch światów. Dybuk. Legenda dramatyczna w czterech aktach*.

Szymon An-ski w czasie I wojny światowej, jako przedstawiciel Petersburskiego Komitetu Pomocy Żydom odbył trzy podróże po Galicji i Bukowinie, niosąc pomoc tamtejszym gminom żydowskim, poszkodowanym wskutek działań wojennych i pogromów. Po wojnie zamieszkał w Polsce, najpierw w Wilnie, a potem w Otwocku, gdzie zmarł w 1920 r. Pochowany został na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie przy ul. Okopowej.

Prowadzone w czasie podróży po Galicji i Bukowinie notatki stały się podstawą wydania w 1920 r. jego wspomnień pt. *Der Judiszer hurbn fun Pojlen, Galicje un Bukowina*, co na polskojęzycznej stronie tytułowej książki przetłumaczono jako Zniszczenie Galicji. Na język hebrajski książkę przełożono w 1929 r. i wydano ją w Berlinie, a następnie wznowiono w Tel Awiwie w r. 1936. Niemal do ostatnich czasów dzieło to było nie dostępne dla czytelników nie znających języka żydowskiego lub hebrajskiego. Dopiero w 2003 r. dokonano jego translacji na język angielski i wydano w Nowym Jorku pt. *The Enemy at His Pleasure. A Journey Through the Jewish Pale of Settlement During World War I.* Nie był to jednak pełny tekst oryginału.

Z myślą o czytelniku polskim zdecydowaliśmy się na przełożenie całości tekstu An-skiego. Mamy nadzieję, że publikacja ta będzie interesująca dla czytelników, gdyż pokazuje istniejący ongiś świat żydowski niejako od wewnątrz, oczyma żydowskiego obserwatora.

Ponadto nasza publikacja wzbogacona przedmową, licznymi przypisami objaśniającymi, indeksami geograficznymi i osobowymi, stanowi swoiste kompendium wiedzy o tradycjach i zwyczajach żydowskich, a także o rosyjskim, polskim i żydowskim środowisku politycznym tamtych czasów.

Michał Kozera rysuje



Humor żydowski

Do cadyka przybiega zapłakany chasyd:
– Rabi, ratuj! Moja żona jest ciężko chora.

Cadyk zamyka się na pół godziny w sąsiednim pokoju. Po czym wychodzi i oznajmia:
– Nie masz się czego obawiać. Twojej żonie już nic nie grozi. Właśnie biłem się z aniołem śmierci i wydarłem mu miecz z rąk.

Chasyd uradowany z tego cudu dziękuje i biegnie do domu.

Nazajutrz znów się zjawia u cadyka:
– Rabi - mówi rozżalony - moja żona umarła.
– Ach co za bestia z tego anioła śmierci - odpowiada cadyk - musiał ją udusić gołymi rękami.

<<< >>>

Rozmowa dwóch sąsiadów:

Kowalski: - Mój syn zdał egzamin wstępny do gimnazjum.

Rosenblum: - Po co mu gimnazjum?

Kowalski: - Będzie mógł potem zostać księdzem.
– Ach tak?
– Być może potem zostanie biskupem lub nawet kardynałem…
– Phi - Albo nawet papieżem…

Nie rozumiem, czemu ci to nie imponuje. Co byś chciał? Żeby został Bogiem?
– Dlaczego nie? Jednemu z naszych już się to udało.

<<< >>>

W zaparowanej publicznej łaźni pewien dowcipniś klepnął w pośladek kogoś, kogo wziął za swego przyjaciela. Natychmiast potem spostrzegł, że ofiarą jego wybryku był rabin.

Zawstydzony śpieszy z przeprosinami: - wybacz rebe, nie widziałem, że to ty. Byłem przekonany, że to mój przyjaciel.
– Nie szkodzi - rzuca spokojnie mędrzec - tam, gdzie mnie uderzyłeś nie jestem rabinem.

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, *tel.:* 0124113493, 601961488, *e-mail:* czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, *Nr konta:* 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – *red. nacz. Współpraca:* M. Kozera, Z. Ostrowski, A. Sarkady, J. Schubert

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE **STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE**

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.